POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE THREEPENCE

Wychodzi co tydzień | ***Dnia 6-go października 1945r.*** | **Rok VII. Nr. 39**

ZAGUBIONA PRAWDA

To, co zamierzamy powiedzieć, nie jest żadnym odkryciem. Napewno niejeden z naszych czytelników sam nieraz o tym myślał lub dzielił się myślami na ten temat w prowadzonych z uczciwymi ludźmi rozmowach. Dobrze jednak powiedzieć to raz jeszcze wyraźnie, odważnie i bez ogródek. Ludzie zagubili prawdę; w życiu publicznym zapanowało kłamstwo.

Prawda kryje się nieśmiało w stosunkach prywatnych; zresztą w tej dziedzinie są sposoby, żeby ludzi do mówienia prawdy i postępowania według jej zasad zmusić. Natomiast ze stosunków publicznych wytrzebiono ją całkowicie; nawet poniekąd za naiwność jest poczytywane, kiedy się kto temu dziwi albo w obronie prawdy staje.

Kłamią wszyscy: mężowie stanu, gdy zawierają traktaty, których nie mają wcale zamiaru dotrzymać, urzędnicy polityczni, gdy wykrętnie istniejące postanowienia komentują i stosują, przedstawiciele prasy, gdy świadomie podają lub podpowiadają nieprawdę, przedstawiciele radia, gdy czynią to samo na falach eteru, działacze polityczni i społeczni w swoich wystąpieniach — słowem, ci wszyscy, od których właśnie prawdy oczekiwać by należało. Cała olbrzymia dziedzina życia publicznego, zwana propagandą lub kryjąca się wstydliwie pod nazwą informacji, oparta jest faktycznie na kłamstwie.

Przypomnijmy sobie nasze niedawne wrażenia, kiedy słuchaliśmy wynurzeń radiowych rozgłośni Goebbelsa. Nikt nam tego nie bronił, ponieważ losy pozwoliły nam żyć po anty-totalitarnej, po demokratycznej stronie frontu. Możemy sobie łatwo wyobrazić, jak to wyglądało po tamtej stronie, kiedy wszystkie głośniki musiały posłusznie powtarzać jedno i to samo, kiedy cała prasa miała jednego tylko wydawcę — państwo czyli partię, kiedy wreszcie każdy odruch protestu czy niezadowolenia prowadził krótką drogą do obozu koncentracyjnego. Niemcy tłumaczą się, że to nie oni wymyślili totalitaryzm państwowy. Prawda, że przed Hitlerem i nazizmem był Mussolini i faszyzm, a Mussolini miał przed oczyma piękne wzory na wschodzie Europy. Tym niemniej, Niemcy ten system doprowadzili do tak doskonałych form, że można im przyznać niemal mistrzostwo.

POCO CI LUDZIE KŁAMIĄ?

Kłamstwo tak się wżarło w życie publiczne, że wydaje się niektórym, iż polityka nie może istnieć bez kłamstwa. Czy tak jest istotnie — to wielkie pytanie; nam się zdaje, że na to pytanie trzeba odpowiedzieć przecząco. Można nie kłamać i nie należy kłamać. Czemuż tedy ludzie kłamią?

Kłamią ci, którzy swoje czyny, złe z punktu widzenia moralności czy prawa, chcą uzasadnić pozorami słuszności i dobra, a przynajmniej konieczności, jak na przykład samoobrona. I tutaj zachodzi ciekawe zjawisko. Ludzie kłamiący oddają mimowolny hołd prawdzie, bo w jej pozory starają się ubrać swoją nieprawdę. Pojęcia moralne, o które od tylu wieków walczy chrześcijaństwo, są tak naprawdę wkorzenione w poczucie ludzkie, że wszyscy muszą się z tym liczyć.

Przypomnijmy sobie, jak to w poprzedniej wojnie Niemcy, gwałcąc neutralność Belgii, przez siebie uroczyście zaprzysiężoną, wymyślili bajeczkę o wolnych strzelcach belgijskich, którzy pierwsi rozpoczęli strzelać do Niemców. Albo na początku tej wojny — bajeczkę o Polakach, którzy masowo na Pomorzu mordowali ludność niemiecką. Później dopiero, gdy nikt temu nie uwierzył, nazwano cynicznie traktat neutralności Belgii "świstkiem papieru", zaś wojnę z Polską uzasadniono koniecznością posiadania terenów do życia */Lebensraumu/*.

Dużo takich przykładów z dawniejszych czy obecnych czasów można by przytoczyć. W ten sposób, chcąc czy nie chcąc, czciciele siły przyznają się do tego, iż ona nie jest dla ludzi rzeczą najważniejszą. Tkwi w tym wielka prawda. Bo jeżeli w przyrodzie panuje ciągła walka o byt, w której rozstrzyga siła, a mocniejszy pożera słabszego, to przecież ludzie uważają się za królów stworzenia i sami od siebie wymagają stosowania zasad ludzkich, nie bydlęcych. Ci, którzy o tym zapominają, wykreślają się dobrowolnie ze społeczności ludzkiej.

JAK KŁAMANO O NAS

Sprawa polska od dawna rozpętywała wokół siebie całą masę kłamstw. Dawniej trzeba było przez sto lat z górą uzasadniać rozbiory i zabory. Za naszej pamięci wypadło wrogom dyskredytować i kompromitować Polskę wobec innych narodów, żeby przygotować je do nowego zamachu na jej niepodległość i uzasadnić jej podbój. Celowali w tym Niemcy, ale nie tylko oni.

Gdyby powiedziano wprost: istnienie Polski przeszkadza jej sąsiadom w rozroście, to było by to szczerą prawdą, zbyt jednak mało przekonywającą dla narodów, w tym niezainteresowanych. Jeżeli przyznam się wprost do tego, że chcę zagarnąć mienie mego sąsiada, ponieważ będzie mi z tym wygodniej, to takiego procesu przed żadnym sądem nie wygram.

To też starano się oczerniać Polskę, jako kraj, gospodarczo do samodzielnego życia niezdolny, jako kraj, politycznie i społecznie zacofany, jako kraj wreszcie, którego istnienie szkodzi sprawie powszechnego pokoju Europy. Taką propagandę prowadzili uczeni, politycy, publicyści wrogich nam narodów lub pozyskani przez nich rozmaitymi sposobami inni cudzoziemcy.

Prasa nasza, gdy przypomnieć sobie jej roczniki w ciągu ubiegłego ćwierćwiecza, nieustannie walczyć musiała z tego rodzaju kłamliwymi zarzutami. Była to walka trudna, bo odrabiać wypadało wykreślenie Polski z mapy Europy przez cały wiek XIX, a po odzyskaniu niepodległości obracać się w świecie powojennym, nieustalonym i ciągle płynnym. Nasza bieda, nasze kłopoty wewnętrzne i graniczne niezmiernie utrudniały zadanie własnej propagandzie. Były poza tym i własne nasze błędy, pilnie podchwytywane przez nieprzyjaciół.

Zostawmy teraz na boku całą kłamliwą akcję niemiecką, co do której nikt nie może mieć i nie ma wątpliwości. Przypomnijmy sobie, co od roku 1940, to jest od czasu, gdy przybyliśmy do Wielkiej Brytanii, jako jedyni jej w tym czasie walczący sprzymierzeńcy, udało nam się zaobserwować na łamach prasy brytyjskiej. Jakie nam tu nieprawości zarzucano, oczywiście nie w interesie brytyjskim, tylko całkiem w innym. Nie do prasy mamy o to żal, choć istotnie inaczej wyobrażaliśmy sobie jej niezależność faktyczną i jej przygotowanie do dyskusji o naszych sprawach. Jesteśmy zawsze i nadal wyznawcami prawdy w służbie dziennikarskiej.

5 KOLEJNYCH ZARZUTÓW

Powiedzmy odrazu, że początkowo mieliśmy t.zw. "dobrą prasę". Nikt nas nie atakował, ponieważ nie leżało to w niczyim tutaj interesie. Ataki zaczęły się z chwilą, gdy Rzesza niemiecka w swej pysze uczyniła sobie przeciwnika z życzliwie neutralnego początkowego partnera, a Wielkiej Brytanii przybył, niezależnie od swej własnej woli, nowy sprzymierzeniec. Ściślej — gdy ten nowy sprzymierzeniec uznał, że wygodniej mu będzie zadzierzgnięte chwilowo i z nami porozumienie w niwecz obrócić.

1. *W Londynie zasiada rząd polskich landlordów.* Usiłowano wmówić, że zarówno rząd gen. Sikorskiego, jak później i rząd Mikołajczyka składa się z wielkich posiadaczy ziemskich i broni interesów wielkiej własności. Oczywisty nonsens, bo żaden z członków rządu nie był wielkim posiadaczem, a Polska już od dawna przestała być krajem wielkiej własności ziemskiej.

2. *Polska jest krajem feudalnym.* Drugi nonsens, ponieważ Polska nigdy faktycznie krajem feudalnym /w znaczeniu zachodnio-europejskim/ nie była. Nonsens i w znaczeniu przenośnym, gdyż osiągnięcia społeczne Polski w ciągu 20-lecia niepodległego istnienia, jej reformy i ustawodawstwo, stawiały ją na czele krajów społecznie postępowych.

3. *Polski antysemityzm.* Był to zarzut, skonstruowany w celu poruszenia opinii żydowskiej, szczególnie nerwowej i wrażliwej. Wymyślono rzekomy antysemityzm w wojsku i hulano na ten temat w prasie przez kilka tygodni, mimo odporu, danego przez czynniki polsko-żydowskie.

4. *Polska nietolerancja religijna.* Wymyślono rzekomą nietolerancję w stosunku do żołnierzy prawosławnych. Grano tu na sympatiach, jakie ma prawosławie w Kościele anglikańskim. Protestował energiczne ks. biskup Sawa.

5. *Polacy są okrutni, "jak wszyscy Słowianie".* Kto taką opinię wyrobił Słowianom u Anglików, nie wiadomo, ale czyżby Polacy? I kto ją rozpowszechniał? Czyżby Niemcy, w przewidywaniu obecnie toczących się procesów? Bo przecież nikt nam chyba nie może zarzucić tworzenia obozów w rodzaju Belsen, Dachau czy Oświęcimia, ani też innych, o których jakoś od dawna nie słychać. Natomiast wiele o rzekomych "okrucieństwach" w polskich obozach wojskowych.

Nie będziemy mnożyli przykładów. Te w zupełności wystarczą, żeby dowieść, co się stało z prawdą w ogniu tej innej wojny, toczącej się na marginesie walk fizycznych. Nie będziemy także dawali przykładów z ostatnich miesięcy. Są one zbyt gorzkie i zbyt dobrze nam wszystkim pamiętne. Podaje się do wiadomości czytelników to, co dogodne i wygodne, to wreszcie, co pozwala na "ratowanie twarzy". "Ratowanie twarzy" — to pojęcie chińskie. Dowodzi ono, że i w Chinach pojęcia moralne idą przed innymi i że uzasadnianie postępowania prawami siły nie jest dla ludzi dostateczne.

Pozostają jeszcze dwa sposoby, które z powodzeniem stosować można, aby prawdę wykoszlawić. Sposobami tymi jest przemilczanie i świadome używanie znanych określeń na rzeczy, które są czym innym. Przemilczanie jest dużym grzechem z punktu widzenia informacyjnych obowiązków prasy czy radia. Operowanie fałszywymi określeniami udaje się tylko na krótko. Przykład: wyraz "demokracja". Wyraz ten różnie jest pojmowany na wschodzie i na zachodzie obecnej Europy, jak to wynika choćby z nieszczególnie udanej konferencji 5-ciu w Londynie.

JAKI Z TEGO WNIOSEK?

Jeżeli uznaliśmy za konieczne zabrać głos w obronie zagubionej prawdy, to nie dlatego, by dojść do wniosku pesymistycznego. Obecny stan rzeczy nie jest wcale dowodem, że prawda przeżyła się, że kłamstwo zapanowało na stałe i że nic się już nigdy nie zmieni. Na odwrót: przypuszczamy, że właśnie niezadługo nastąpi odrodzenie pojęć moralnych i ich zwycięstwo w życiu publicznym.

Inaczej bowiem stosunki ludzkie będą nie do wytrzymania, a jedynym sposobem rozstrzygania nieporozumień muszą być wojny. Wojny zaś od czasu bomby atomowej stają się cięższym zagadnieniem dla ludzkości, niż dotychczas.

Sądzimy więc, że doczekamy jeszcze tryumfu prawdy, o której tak wymownie powiada w swoim liście pasterskim książę-arcybiskup krakowski Sapieha, nieugięty hierarcha Kościoła Katolickiego w Polsce:

"Prawda jest podwaliną stosunków między ludźmi; gdy się wkradnie zakłamanie, musi zniknąć wszelkie zaufanie, jakie ma człowiek do człowieka. "Ustami dwujęzycznymi brzydzę się" /Przysł. 8, 12/. To też Chrystus Pan powiedział: "A mowa wasza niech będzie tak — tak, nie — nie, a co nadto więcej jest, od złego jest" /Mat. 5, 37/. Złem jest, gdy przesadzamy, zmyślamy wypadki czy sądy o innych, gdy używamy słów, podsuwając ich brzmienie, znacznie niezgodne z prawdą. A ileż to przykładów tego moglibyśmy przytoczyć w dzisiejszych pismach czy wygłoszonych przemowach. Nie dziwięc, że niedowierzanie jest dziś tak powszechne, że rodzą się plotki, często bardzo szkodliwe. Ileż to jednak prostodusznych łapie się na te sidła. To powszechne zakłamanie jest groźną chorobą naszych czasów, prowadzi do skrzywienia życia społecznego".

Jest to we wspaniale lapidarnym ujęciu skrót tego, co wyżej udowodniliśmy.

Pragnęlibyśmy uniknąć zarzutu, że występujemy tutaj przeciw prasie brytyjskiej, ponieważ z niej czerpaliśmy przykłady. Uczyniliśmy to dlatego, że nam były jedynie dostępne. Wierzymy nadal w jej *fair-play*, uczucie, choć chwilowo wszędzie zamącone przez nieuczciwych przeciwników i niegodnych partnerów, ale przecież przyrodzone narodowi brytyjskiemu, który wydoskonalił pojęcie dżentelmeństwa i kult danego słowa.

Pragnęlibyśmy też, czytelniku, postawić kropkę nad *i*. Gdy zobaczysz kłamstwo, pamiętaj, że nim broni się zawsze złej sprawy. Dobra sprawa kłamstwa nie potrzebuje i nie używa.

ANTONI BOGUSŁAWSKI

PO T.ZW. "PLEBISCYCIE"

W ostatnich dniach Polskie Siły Zbrojne przeżyły ważną chwilę. Stosownie do życzenia władz brytyjskich i w formie przez nie ustalonej członkowie tych Sił Zbrojnych mogli się opowiedzieć za bezzwłocznym wyjazdem do Polski.

Ten t.zw. "plebiscyt" odbył się w spokoju i powadze. Płynęła ona z poczucia ważności i ze zrozumienia ciężaru chwili oraz pobieranych w tej chwili postanowień.

Nie przeszkodziło to nieżyczliwej prasie, całej tej wrogiej propagandzie, która otacza kręgiem Siły Zbrojne na obczyźnie — podnieść głosu "oburzenia", przeinaczyć wszystko: fakty, okoliczności, cyfry. "Rząd Tymczasowy" w Warszawie założył protest przeciw samemu" plebiscytowi".

Jeszcze raz w tym podwójnym ataku: oficjalnym i nieoficjalnym ujawniła się ponad wszelką wątpliwość prawda, że za rozgłośną propagandą powrotu kryje się chęć rozbicia tego dorobku, tej wartości, tej woli, jaką reprezentują Polskie Siły Zbrojne, zdławienie głosu w obronie praw Rzeczypospolitej, który idzie z ich szeregów i iść nie przestanie, póki te prawa bezsporne i elementarne: do swobodnego stanowienia o sobie, do niepodległości nie będą także udziałem naszego kraju.

W tej chwili nie o tym chcemy mówić. Myśl nasza zwraca się ku kolegom naszym, którzy zdecydowali się na natychmiastowy powrót do kraju.

Wierzymy, że zważyli w sumieniu ciężar swojej decyzji. Nie podzielamy tej decyzji, ale ją szanujemy. Jesteśmy przekonani, że kierowała nimi — prócz tęsknoty do swoich, do swego domu i swojej ziemi — chęć pracy dla kraju.

Oczekujemy od nich, że będą tam pracować uczciwie, że godnie przedstawią te szeregi, do których się przez pewien czas liczyli, do których przedzierali się często z narażeniem życia. Ufamy, że nie zaprą się ani tego, po co to zrobili, ani wierności Polsce — naszej wspólnej, najdroższej matce.

Po ich odejściu, które odbędzie się bez urazy i nienawiści, my wszyscy, którzy postanowiliśmy inaczej — zewrzemy tym ściślej, tym mocniej nasze szeregi. Wybraliśmy drogę trudną, bardzo odpowiedzialną. Przeszliśmy ponad głosem tęsknoty do swoich, do swego domu, do swojej ziemi. Nie przestaliśmy być żołnierzami, których siłą jest bezwzględna solidarność, wspólnota losu w złym i dobrym.

Ciągle trwa i nabiera wagi nasza rola żywego, zbiorowego, nieustannego protestu przeciw krzywdzie Polski, przeciw pogwałceniu jej woli, przeciw narzuceniu jej woli obcej, przeciw prześladowaniu jej najlepszych synów.

Trzeba nam trwać i wytrwać.

ALEKSANDER JANOWSKI

Przegląd tygodniowy

ANI WOJNA, ANI POKÓJ

Każdy dzień, który mija przynosi nowe dowody, że koniec wojny, to jeszcze bynajmniej nie nastanie ery pokoju. W niektórych krajach Europy panuje stan zbliżony do wojny domowej, a w przeważnej — warunki życia i bezpieczeństwa dają się porównać z najgorszymi okresami historii. Bandytyzm i łupiestwo są zjawiskiem codziennym, więzy moralności uległy nie tylko rozluźnieniu, ale niemal likwidacji.

Wrze świat kolonialny. Indochiny buntują się przeciw Francuzom, Indie holenderskie usiłują zrzucić panowanie holenderskie i uzyskać niepodległość. Wojska brytyjskie, głównie indyjskie, bronią interesów mocarstw kolonialnych zachodniej Europy. Tymczasem leje się krew również w samych Indiach, gdzie raz jeszcze Hindusi i Muzułmanie biją się ze sobą, dając przedsmak tego co nastąpi w razie wycofania się Brytyjczyków. Odrzucenie przez Kongres indyjski nowych propozycji brytyjskich nie wskazuje zresztą, by chwila uzyskania przez Indie niepodległości była bliska.

Te kolonialne wstrząsy świadczą nie tylko o tym, że daleko jest do prawdziwego pokoju. Wskazują też na słabnięcie wpływów europejskich na Dalekim Wschodzie. Czy oznaczają także zmniejszanie się prestiżu białego człowieka? Niekoniecznie. Prestiż Ameryki wydaje się wysoki. W oczach Azjatów Ameryka, bijąc Japonię wykazała, że zasługuje na respekt. Poza tym Ameryka nie nosi na sobie ciężaru tradycji eksploatowania narodów kolonialnych. To także wzmacnia jej prestiż. Przede wszystkim jednak Azja, ludy kolonialne, ba, świat w ogóle chyli czoła przed silnymi, a lekceważy słabych. Dlatego przyszłość imperium kolonialnego Francji i Holandii stoi pod znakiem zapytania.

Obraz świata, który nazajutrz po straszliwej wojnie szuka mozolnie drogi do pokoju uzupełniają inne doniesienia. Napięcie w Palestynie. Nieudana rewolta w Argentynie. Zamieszki we Włoszech.

A dalej wstrząsy społeczne. Fala strajków w Ameryce. Awantury w Kanadzie.

Ponad wszystkim zaś góruje kryzys konferencji londyńskiej i rosnące rozbieżności pomiędzy mocarstwami. Oto wydarzenia z jednego tylko tygodnia, wyraźnie wskazujące, że droga do pokoju i stabilizacji jest bardzo, bardzo daleka. Jeżeli istniały gdzieś złudzenia, że wystarczy wygrać wojnę i wszystko wróci do normy, to musiały one teraz prysnąć.

KONIEC POLITYKI USTĘPSTW?

Pierwsza sesja Rady ministrów spraw zagranicznych zakończyła się pod znakiem prób uspakajania opinii publicznej świata i tłumaczenia jej, że nie należy brać zbyt tragicznie niepowodzenia narad londyńskich. Wersal trwał sześć miesięcy, więc cóż dziwnego, że teraz, po trzech tygodniach, nie osiągnięto pomyślnych wyników?

Ale w rzeczywistości nie przeciąganie się i brak szybkich rezultatów są powodem pogłębiającego się w świecie zaniepokojenia. Istotną przyczyną jest zarysowująca się coraz wyraźniej groźba podziału świata na bloki i strefy wpływów. Człowiek z ulicy instynktownie wyczuwa, że taki podział byłby w skutkach swych fatalny.

Nic nie było by bardziej nierozumne, niż uciecha z powodu sporów między mocarstwami. Nie leżą one z pewnością ani w naszym, ani w niczyim interesie. Moglibyśmy się tylko cieszyć z osiągnięcia przez wielkie mocarstwa porozumienia, oczywiście jeżeliby nastąpiło ono na płaszczyźnie poszanowania woli i interesów wszystkich narodów, uzgodnienia pojęcia demokracji w jego jedynym, t.j. zachodnio-europejskim sensie i przekreślenia wszelkich sfer wpływów. Niestety do tego bardzo jest daleko.

Rzecz jasna, że brak porozumienia jest mniejszym złem, aniżeli porozumienie na fałszywych i niemożliwych do przyjęcia zasadach. Stąd też niepowodzenie londyńskie jest stosunkowo lepszą rzeczą, niż "porozumienia" teherańskie i krymskie. Albowiem to jedno jest pewne: w Londynie mocarstwa Zachodu przestały kroczyć po drodze jednostronnych ustępstw. Polityka *"appeasement'u"* została bodaj zakończona.

Pod tym względem stanowczość rządów W. Brytanii i St. Zjednoczonych w polityce nieuznawania rządów Bułgarii i Rumunii jest ważkim wydarzeniem, choć, jak podkreślaliśmy już na tym miejscu, jest polityką negatywną. Oczywiście trzeba założyć, że od tego stanowiska oba rządy anglosaskie nie odstąpią; *"Tablet"* przypomina, że już w swoim czasie w San Francisco oba te rządy zajęły równie mocne stanowiska w sprawie rządu polskiego, by w parę tygodni później ustąpić. I słusznie zauważa, że ten sukces p. Mołotowa musiał zachęcić go do nieprzejednanego stanowiska w sprawie rządów bałkańskich. Jest rzeczą Aliantów przekonać Rosję, że jednak coś się zmieniło w ich polityce.

POLSKA NADAL PROBIERZEM

Z pewnością stosunek do Polski, a także do Jugosławii pozostaje kamieniem probierczym. P. Mołotow musi liczyć na to, że jego anglosascy partnerzy w końcu ustąpią w sprawie rządów b. satelitów osi, o ile nie będzie miał dowodów, że mocarstwa zachodnie są zdecydowane wymusić poszanowanie zobowiązań przyjętych w sprawie sojuszników polskich i jugosłowiańskich.

A tymczasem sytuacja w obu tych krajach nie tylko nie jest lepsza, ale raczej gorsza, niż w krajach bałkańskich. Tak n.p. w Bułgarii istnieją już trzy pisma opozycyjne. W Polsce i w Jugosławii nie ma ani jednego.

O tym wszystkim nie było jednak w Londynie mowy. O sprawy polskie zahaczono tylko dwukrotnie i w obu wypadkach z inicjatywy sowieckiej — nie w obronie praw Polski, ale na skutek prób sowieckich nowego ich naruszenia.

Z jednej strony: sposób, w jaki rząd p. Osóbki został zaproszony do przedstawienia swych poglądów na sprawę granicy włosko-jugosłowiańskiej był wysoce ubliżający Polsce, którą umieszczono w odrębnej grupie na równi z republikami sowieckimi ukraińską i białoruską, z drugiej zaś żądanie sowieckie odesłania siłą do Sowietów obywateli polskich z ziem wschodnich było nowym wyzwaniem pod adresem międzynarodowej sprawiedliwości i elementarnej etyki.

Żądanie to nie zostało uwzględnione, ale smutnym faktem jest, że mogło to w ogóle być przedmiotem dyskusji.

PARADOKSY

W ogóle jest rzeczą paradoksalną, że w dalszym ciągu dyplomacja rosyjska jest w stanie wysuwać ciągle nowe żądania i być w ofensywie, choć układ sił w świecie zmienił się tak bardzo na jej niekorzyść. Wybitny publicysta turecki Sadak w piśmie Aksham, zastanawiając się nad przyczynami tych "niewiarygodnych", jak pisze, żądań rosyjskich, wyraża przypuszczenie, że Rosja sądzi, iż "jej przeciwnicy są bardzo słabi i że teraz okoliczności najbardziej sprzyjają ustanowieniu przez nią hegemonii światowej, o której nie śnili nawet carowie. To tłumaczyłoby dlaczego jej żądania są znacznie większe, niż nawet Hitlera. W. Brytania i Ameryka nie poto poniosły w ostatnich sześciu latach tyle poświęceń, aby oddać byłemu sojusznikowi Hitlera to wszystko co uratowały. Czy padną one na kolana przed wielkim imperializmem? Nie sądzimy by tak było".

Istotnie trudno to sobie wyobrazić. Jest rzeczą znamienną, że ten mocny artykuł pisma tureckiego był obszernie cytowany przez radio brytyjskie, które zaakcentowało stwierdzenie, że W. Brytania i Stany Zjednoczone "nie popełnią samobójstwa". Niemniej jest rzeczą zadziwiającą, że mocarstwa Zachodu nie zdołały do tej pory przekonać Moskwy, iż nie są takie słabe, jak ona sądzi.

Jedną z przyczyn, dla których Rosja nie ceni zbyt wysoko mocarstw anglo saskich, pomimo iż są znacznie potężniejsze od niej, jest nastawienie społeczeństwa amerykańskiego, które niestety szybko powraca do złych tradycji izolacjonizmu, interesuje się jedynie produkcją samochodów i lodówek, strajkuje i żąda najszybszego powrotu żołnierzy do życia cywilnego; wszystko to oczywiście osłabia Stany Zjednoczone. Społeczeństwo brytyjskie wykazuje znacznie większą trzeźwość w ocenie sytuacji. Rząd brytyjski może nawet opóźnić demobilizację, bez narażania się na zbyt gwałtowne protesty.

Innym czynnikiem, który zachęca Rosję jest niedostateczna solidarność mocarstw Zachodu. Stany Zjednoczone chcą pośredniczyć między Rosją, a W. Brytanią, W. Brytania uważa się za pośrednika pomiędzy Ameryką, a Rosją, a Francja wmawia sobie, że może godzić Rosję z Anglosasami. Trzeba jednak stwierdzić, że jednym konkretnym wynikiem konferencji londyńskiej jest poważne zbliżenie trzech mocarstw demokratycznych.

CZY PODZIAŁ ŚWIATA JEST NIEUNIKNIONY?

Powstaje jednak wielkie pytanie, jaki wniosek wyciągną one z niepowodzenia narad londyńskich. Coraz wyraźniej zarysowuje się niebezpieczne przekonanie, że nie pozostaje nic innego, jak budować blok zachodni. Bardzo znamienny pod tym względem był artykuł *"Observera"* z 30.IX. Według niego nieuchronnym następstwem fiaska londyńskiego, które przekreśla faktycznie całą politykę jałtańską — musi być konsolidacja bloków. Kraje Europy wschodniej będą stawały się coraz bardziej "prowincjami Imperium sowieckiego" i nie przeszkodzą temu żadne dyplomatyczne kontrofensywy. Mogłaby przeszkodzić tylko siła, ale o jej użyciu nikt nie myśli. W. Brytanii nie pozostaje więc nic innego, jak "uprawiać własny ogródek" t.j. organizować Europę zachodnią i Imperium brytyjskie.

Jest to bardzo niebezpieczna teza, bo pogodzenie się z blokami, to wiaściwie pogodzenie się z nieuchronnością nowej wojny. A tymczasem energiczna akcja przeciw blokom może jeszcze tę groźbę uchylić.

Wszystko wskazuje na to, że w przeciwieństwie do licznych kół, zwłaszcza konserwatywnych socjaliści, w szczególności zaś p. Bevin, nadal zdecydowanie przeciwni są polityce godzenia się z "faktem dokonanym podziału świata na bloki".

PRZEMIANY FRANCJI

Poważnym wzmocnieniem dla socjalistów brytyjskich jest wzrost wpływów socjalistycznych na kontynencie. Oczywiście może się on ujawnić tylko tam, gdzie odbywają się wolne wybory. Ponieważ zaś krajów takich jest tymczasem niewiele, szczególnie znamienne są wybory do rad departamentalnych we Francji. Nie są jeszcze znane wyniki drugiej tury, ale już teraz jasne jest, że socjaliści wysunęli się zdecydowanie na czoło, a fala komunistyczna, która stosunkowo nie tak dawno groziła zalaniem Francji, wyraźnie cofa się.

W polityce zagranicznej Francji również nastąpił wyraźny zwrot. Sojusz francusko-sowiecki jest już tylko świstkiem papieru, Francja orientuje się zdecydowanie ku współpracy ze Stanami Zjednoczonymi i z W. Brytanią.

Francja, tak jak W. Brytania i jak cały świat zachodni przeżywa dziś koniec złudzeń. Złudzeń na temat Rosji. Rozwianie iluzji, że polityka zaborcza Sowietów była podyktowana tylko względami "bezpieczeństwa" — to może najważniejszy fakt do zanotowania w chwili obecnej.

Londyn, 30 września 1945

ALEKSANDER BORAY

Nowości lotnicze

Wiadomo, że niedobrze się dzieje i to właściwie wszędzie, we wszystkich dziedzinach, od wysokiej polityki zacząwszy na sprawach żywnościowych skończywszy. Rzecz jasna dzieje się bardzo źle i z organizacją wszechświatowej komunikacji lotniczej. W tej chwili ludzkość posiada wszystkie możliwe warunki do urzeczywistnienia marzeń pionierów wielkiego, opartego na wolności powietrza międzynarodowego ruchu lotniczego. Jeśli by chciała — dziś jeszcze mogła by przystąpić do wprowadzenia w życie stałej komunikacji biegnącej naokoło kuli ziemskiej, po południkach czy po równoleżnikach t.zn. wszerz lub wzdłuż kuli ziemskiej.

Pływające lotniska, zdawało by się niezisziczalne marzenie, są już zbudowane i wykazały całkowicie swą praktyczną użytkowość. Nadfortece przeleciały dwa tygodnie temu z Japonii do Chicago /chciały lecieć do Washingtonu, tylko na ostatnie 550 klm. nie starczyło paliwa/ bez lądowania. W budowie są samoloty, które mogą oblecieć trzy czwarte, a może i całą kulę ziemską dookoła — nie lądując wcale. Droga przez biegun między Ameryką a Europą czy Azją, dyskutowana jeszcze trzy lata temu, ogółem uznana za zbyt trudną — stoi dziś otworem. Można sobie nawet poradzić z Himalajami. A jednak — międzynarodowa komunikacja lotnicza, kamień węgielny i najtęższy filar stosunków między narodami, nawet po pobiciu Japonii jest jeszcze nie do urzeczywistnienia. Na przeszkodzie stanęła zła wola i źle pojęty interes, samolubstwo poszczególnych narodów oraz z jednej strony zbyt pośpiesznie przeprowadzana socjalizacja /upaństwowienie), z drugiej zbytnia chciwość niektórych organizacji ściśle kapitalistycznych.

Wiadomo, że w czasie wojny przypuszczano, że w szranki lotnicze staną po wojnie przede wszystkim dwa państwa: Ameryka, ponieważ posiada olbrzymie rezerwy samolotów transportowych, oraz Wielka Brytania, ponieważ posiada R.A.F., armię powietrzną, najlepiej nadającą się do objęcia i przeprowadzenia kontroli ruchu światowego, nadto bazy lotnicze tak rozrzucone po całym świecie, że tylko przy jej pomocy można myśleć o zorganizowaniu komunikacji wszędzie, gdziekolwiek by się chciało dolecieć. Nawet Rosja, owa wszechpotężna, Rosja, mimo iż kontroluje tak olbrzymi szmat kuli ziemskiej, nie mogłaby współpracy brytyjsko-amerykańskiej niczego przeciwstawić: ani baz, ani samolotów transportowych, ani też możliwości utworzenia kontroli międzynarodowej.

Tymczasem skrzyżowały się interesy Wielkiej Brytanii i Ameryki, a raczej skrzyżowały się interesy poszczególnych przedsiębiorstw z jednej strony amerykańskich, z drugiej brytyjskich. Równocześnie zarówno w Ameryce, jak i Wielkiej Brytanii skrzyżowały się interesy państwa i prywatnej inicjatywy. Już pierwsze miesiące pokoju wykazały, że dotychczas na papierze tak dobrze zgrane plany są bezwartościowe, wobec niemożności zastosowania w praktyce planów starych, niepodjęcia nowych, oraz chaosu, który wytworzył się w dziedzinie polityki lotniczej.

Najlepiej widzimy to na odcinku komunikacji transatlantyckiej między Ameryką a Wielką Brytanią. Wydawało by się, że obu krajom powinno zależeć na dobrej komunikacji powietrznej. Tymczasem wcale tego nie widać. Jeszcze miesiąc temu dwa towarzystwa amerykańskie obsługiwały linię Kanada — Wielka Brytania przez sześć dni w tygodniu każda. Trzecie towarzystwo podtrzymywało komunikację w bardziej nieregularnych odstępach. Od przyszłego miesiąca nie będzie więcej komunikacji na tym odcinku.

Dlaczego? Samoloty amerykańskie nie będą dolatywać do Wielkiej Brytanii, lecz tylko do Irlandji, ponieważ podobno Wielka Brytania nie ma odpowiedniego portu lotniczego. Tymczasem Wielka Brytania sama nie może podjąć komunikacji, ponieważ w tej chwili nie posiada odpowiednich samolotów do obsługi linii bezpośredniej, Wielka Brytania-Kanada, czy Wielka Brytania-New York.

Wyglądało by to na trudności techniczne. Jednak za tym wszystkim kryją się nie techniczne trudności, lecz raczej business oraz polityczna gra o przewagę gospodarczą. Ameryka chce pokazać Wielkiej Brytanii, że ta ostatnia nie może się bez niej obejść i występuje na innym polu z pewnymi pretensjami o nowe bazy w rejonie Oceanu Spokojnego i Indji. Tymczasem Wielka Brytania rzeczywiście nie ma samolotów transportowych.

Ale nie w tym rzecz. Bo Wielka Brytania w niedługim czasie będzie miała samoloty. Lecz Wielka Brytania porzuciła niedawno plan współpracy uzgodniony na licznych konferencjach anglo-amerykańskich, potwierdzony zresztą przez lotniczą konferencję międzydominialną. Plan ten opierał się na stworzeniu monopolowego przedsiębiorstwa, kontrolowanego przez rząd, lecz ze współudziałem przede wszystkim wszechobecnych w transportowym interesie towarzystw kolejowych i okrętowych obu państw.

Tymczasem teraz Wielka Brytania przechodzi na socjalizację transportu. Ameryka odrzuciła próby półsocjalizacji, forsowanej przez Roosevelta i utrzymała się przy systemie prywatnej inicjatywy, jakkolwiek owa prywatna inicjatywa przypomina bardzo wybitnie w swej wewnętrznej strukturze dyktaturę kartelu przedsiębiorstw transportowych, przy której nie ma właśnie miejsca dla inicjatywy prywatnej w swej zdrowej formie. Wszechpotężna *Pan American Airways*, oraz kilka innych towarzystw mających wpływy w rządzie chcą zagarnąć nie tylko monopol komunikacji transatlantyckiej na północy, lecz i na południu. Poza tym nie tylko wszystkie linie w Południowej Ameryce, lecz i linie afrykańskie, dotychczas będące w wyłącznym prawie władaniu brytyjskim nie mówiąc już o liniach azjatyckich. Te towarzystwa spowodowały zawarcie przez Washington pewnych układów lotniczych z Portugalią, które uderzają w samo serce możliwości powojennych Wielkiej Brytanii.

Ameryka kłóci się o bazy nie tylko z Wielką Brytanią, lecz także z Rosją. Już oddawna Ameryka planowała wielkie linie azjatyckie przez obszary rosyjskie. Rosja na to zgodzić się nie chce. Wielka Brytania posiada bazy, którymi można oblecieć Rosję od południa. Lecz znowu nie chce ich udzielić Ameryce. Przy tym wszystkim kręcą się jeszcze interesy innych mniejszych państw, które pragnęłyby sobie zabezpieczyć przeloty na żywotnych liniach między centralami europejskimi a koloniami, jak n.p. Holandia i znajdują się stale pod ostrzałem kapitału zarówno amerykańskiego, jak i brytyjskiego. W tym wszystkim naprawdę trudno się wyznać. Wszystko zaś razem tworzy typowy bałagan, bardzo daleki od sielankowego obrazu współpracy międzynarodowej ustalonej w Dumbarton Oaks.

Kto to i kiedy ureguluje, nikt nie wie. Teorie kłócą się z praktyką, ideały z interesami krajów i jednostek, a że w mętnej wodzie najlepiej się łapie ryby, wobec tego z tej sytuacji korzysta w pełni ten, kto chce widzieć cały świat w podobnym chaosie, oraz ci, którzy długotrwały porządek poświęcają krótkotrwałemu interesowi.

Wiadomo napewno, że przy dzisiejszym stanie rzeczy sprawy lotnicze, a więc i sprawy międzynarodowego bezpieczeństwa wysuwają się na pierwsze miejsce. Dopóki nie zostaną one uregulowane na szczeblu międzynarodowym, nie ma mowy o pokoju prawdziwym, ani o prawdziwej współpracy międzynarodowej. Wiadome było już dawno n.p., że zaopatrzenie zniszczonych krajów europejskich, szczególnie n.p. Polski nie da się przeprowadzić w okresie po ustaniu działań wojennych, bez zorganizowania komunikacji i transportu lotniczego. W tej chwili takiego transportu, ani też komunikacji między zachodem i wschodem Europy nie ma.

Przyczyny są proste: Rosja nie dopuszcza do stworzenia lotniczej czy innej komunikacji reliefowej, nawet zwykłej komunikacji transportowej, mimo iż sama jej stworzyć nie może. Nie może zaś stworzyć, gdyż nie ma co przewozić z głodu do głodu, po wtóre nie ma samolotów. T.zw. Polskie Linie Lotnicze to kilka amerykańskich transportowców wojskowych "Dakota" z *"lend-and lease,"* o motorach rosyjskich.

Wielka Brytania, nawet gdyby i granice powietrzne zostały otwarte przez zastosowanie czterech powietrznych wolności, o których tak wiele pisano i które w Chicago podpisywano /Rosja nie podpisała, wycofując się przezornie z konferencji!/ gdyby nawet miała co wozić, to i tak nie zdołałaby wykorzystać możliwości — gdyż nie posiada dostatecznej ilości samolotów transportowych. Posiadane przez nią "Dakoty" wystarczają zaledwie na podtrzymanie transportu między poszczególnymi bazami Wielkiej Brytanii w dominiach i na kontynencie. Dlaczego jednak nie rusza się olbrzymiego zapasu niemieckich samolotów transportowych, które trzeba tylko wyprowadzić z hangarów i zapuścić śmigła? "Ju 52" nie ustępują "Dakotom." O to już należy zapytać się jednego z najbardziej wymagających członków "Big Three" . . .

Dlaczego wreszcie Wielka Brytania musi oblatywać dookoła loksodromy przez Europę wiodące i skakać przez rozmaite góry, nad którymi pogoda przelotowa panuje zaledwie 62 dni w roku? Znów zapytajmy tego samego adresata. A może nawet kilku adresatów . . . I t.d. i t.d.

Wesoło jest nad Europą. Jeżeli tak dalej pójdzie, to należy się spodziewać, że w wieku samolotów propulsyjnych, rakietowych, w wieku szybkości środków transportowych dochodzących do krytycznej szybkości dźwięku, będziemy latać z Paryża do Warszawy po staremu, jak w roku 1912 z 64 lądowaniami w międzyczasie. Natomiast nad Atlantykiem przestanie się w ogóle latać, bo jedni nie będą mogli, gdy inni nie będą chcieli. W tej zapewne nadziei przystąpiono do budowy nowych okrętów pasażerskich o rozmiarach przewyższających "Queen Mary."

Podobnie jak po pierwszej wojnie światowej wynalazki i doświadczenia lotnicze zgubiły się w mrokach nędzy, kłótni, złej woli, tak i po tej wojnie, zapomnimy niebawem, że istniały lotniska morskie, radio, telenawigacja etc.

Tylko jednego zapomnieć nie będzie można: że istnieje bomba atomowa . . .

M. J. GORDON

POMÓŻ POLAKOM W NIEMCZECH

Ubrania, obuwie, przedmioty codziennego użytku:
Polski Czerwony Krzyż
34, *Belgrave Sq., London, S.W.1.*

Książki, broszury, pisma i datki na ich zakup:
Światowy Związek Polaków
38, *Wilton Crescent, S.W.1.*

Dary pieniężne /ewentualnie za pośrednictwem "Polski Walczącej"/
Polski Czerwony Krzyż
34, *Belgrave Sq., London. S.W.1.*

Reportaż z podróży do Danii (I)

Na gruzach bezideowej wojny

Jadąc z Meppen — stolicy obszaru okupacyjnego wojsk polskich w Niemczech — do Danii, miałem przeciąć północną część brytyjskiej strefy okupacyjnej, ale podczas tej jednodniowej podróży samochodem odniosłem wrażenie, że odbywa się ona w czasach przedbismarckowskich, kiedy mapa Niemiec przedstawiała różnokolorową mozajkę księstw i księstewek.

Najpierw, nad rzeką Ems i dalej na wschód do Cloppenburga, a nawet jeszcze dalej, do Delmenhorstu blisko Bremy rozciąga się "księstwo" polskie. Zbliżając się do Meppen od zachodu, jedzie się wzdłuż malowniczej rzeki Ems, która przypomina mi San, a każdemu innemu Polakowi może przypominać każdą inną polską rzekę tej wielkości.

Uderzające jest to podobieństwo przyrody, tych rzek, lasów i pól, a dalej atmosfery życia na tle tej przyrody, wsi, która jest prawdziwą wsią, z wiejskim przytulnym kościółkiem, z oberżą, z krowami, z malowniczym niechlujstwem zabudowań, z gęsiami i błotem, z odsunięciem od ośrodków miejskich, tam gdzie świat "zabity deskami". Oczywiście wieś niemiecka stoi wyżej kulturalnie od polskiej. Ale znów nie tak bardzo — od wsi Polski zachodniej. To nie są farmy W. Brytanii, ani ogródki holenderskie — to jest wieś, a w niej nie żyją farmerzy lub robotnicy rolni, lecz chłopi z krwi i kości, parobki i dziewuchy wiejskie, rubaszne, umyte tylko w niedzielę.

A miasteczko Meppen jest czymś w rodzaju Nowego Targu wśród takich wsi. Nad Dunajcem, który przypomina mi San, a w rzeczywistości jest Ems'em, mijamy kolonię pięknych will zamieszkałych przez Niemców, a paręset metrów dalej nędzne baraki, odrapane i połatane deskami. Jedyną ozdobą tych baraków jest polska chorągiew na maszcie, bo tutaj znajduje się obóz ludności polskiej. Ten kontrast pomiędzy warunkami życia pokonanych Niemców a jednego z narodów "wspólnoty" alianckiej jest wprost uderzający i stanowi symbol. Za rzeką znów polska chorągiew — nad urządzeniami plaży Dywizji Pancernej.

Przekroczywszy most, samochód wpada w ulice miasteczka i zakręca koło "Klubu Oficerskiego", który stanowi miejsce towarzyskiego "rendez-vous" miejscowych Polaków. Za mostem przez kanał mijamy drugą podobną instytucję — Polską Imkę. Jesteśmy na głównej ulicy, która chyba tylko przez niedopatrzenie nie nosi nazwy "Ulica 3-go Maja" lub "Piłsudskiego" — tyle bowiem na niej polskich mundurów i polskiej mowy. Urząd *"Military Government'u"* i z rzadka policjant niemiecki — wydają się tutaj jakimś nieporozumieniem.

Najczęściej na ulicy widać czarne berety i naramienniki Dywizji Pancernej. Dziewczęta w *battledressach* z "Polandem" na rękawie — to pomocnicza służba kobiet przy polskich oddziałach wojskowych. Pracują one w biurach, świetlicach, szkołach i szpitalach. Każda z nich przeżyła epopeję walki Polski Podziemnej, powstania warszawskiego i poniewierki w obozach jeńców. Teraz otrząsnąwszy z siebie zmorę przeżyć są znowu pełne życia i uśmiechu. Troskę o przyszłość równoważy optymizm młodości, ten najgłówniejszy rys żołnierzy Armii Krajowej. Wielu z nich jak i z b. jeńców wrześniowych można spotkać na ulicach Meppen. Ciągną tutaj jak do stolicy, wędrują jakimiś zmyślnymi sposobami, "autostopem", na zdobycznych motocyklach i samochodach. Żandarmeria aliancka wyłapuje te nielegalne pojazdy, ale wciąż pojawiają się pokrywając brak pozwolenia — kartki na szybie z literami "E.S" — jakimś fantastycznym znakowaniem, które ma wzbudzić zaufanie u władz drogowych. Widziałem samochód, który ozdobiono białą gwiazdą inwazyjną, wielkim czerwonym krzyżem i . . . barwami "R.A.F.'u". Oczywiście z tyłu musi być koniecznie "Pl" a na masce motoru polska chorągiewka.

Obraz w kaplicy obozu polskiego w Wentorf koło Hamburga, malowany przez b. jeńca Francuza.

Bo dla wyjaśnienia panujących tutaj stosunków trzeba stwierdzić: jak polski obóz w ruderach-barakach koło Meppen znajduje się w pobliżu pięknej niemieckiej dzielnicy willowej, tak samo do niedawna ci żołnierze alianccy, a teraz ludzie wyrzuceni poza nawias życia, unikając wegetacji w swoich obozach, wędrują nielegalnymi pojazdami, ścigani przez władze alianckie, gdy byle jaki Hans lub Fryc, przed pół rokiem entuzjasta Belsenów i Buchenwaldów, rozbija się własnym, legalnie posiadanym samochodem, pełniąc jakieś niby "E.S." — *"Essential Service."*

Przeskoczywszy przez Meppen skręcamy na drogę ku Bremie. W każdym miasteczku lub wsi widać polskie chorągwie, polskie wojsko lub obozy b. jeńców i deportowanych na roboty. Haselünne, Herzlake, Löningen, Lastrup, Cloppenburg — wszędzie Polacy. Prawdziwe polskie "księstwo" — dosłownie sezonowe państewko, w którym zwycięzcy żyją życiem pokonanych.

W Delmenhorst przejeżdżamy koło wielkich budynków koszarowych, w których gnieżdżą się tysiące Polaków. Służbę porządkową pełnią tutaj "niebieskie berety" — polscy spadochroniarze. Co krok spotykamy żołnierzy z Kampanii Wrześniowej. Noszą przeróżne mundury: alianckie, amerykańskie, brytyjskie, nierzadko widać poszarzały i połatany mundur polski, który nie zatracił jeszcze przez długie lata niewoli śladów swojej niegdyś elegancji.

Oto kroczy poważnie pułkownik z baretką "Virtuti Militari". Trzyma się prosto i po żołniersku. Dalej grupka młodzieży oficerskiej — podporucznicy, śmieją się i rozmawiają z ożywieniem. Często jednak można zauważyć szarą, apatyczną twarz, niedbały, śmiesznie zwisający mundur na przygarbionej postaci — tego wykończyła niewola, a jeszcze bardziej . . . wolność.

Jak teraz wszystko wskazuje, mocarstwa zachodnie zrezygnowały z Polski, jako kraju wchodzącego w skład obszaru nazywanego z punktu widzenia politycznego "Europą". W tych warunkach wielu Polaków przebywających na Zachodzie słusznie obawia się powrotu do swojej ojczyzny. Wybranie tego czy innego układu politycznego przez te mocarstwa można przy maximum dobrej woli jako tako usprawiedliwić, natomiast nie ma sposobu na wytłumaczenie polityki, jaką zastowano wobec Polaków na Zachodzie.

Stworzono cały aparat, który z jednej strony usiłuje nie dopuścić do tych Polaków prawdziwych wiadomości o stosunkach w Polsce, a z drugiej strony szerzy propagandę powrotu, malując przed oczami tych biednych ludzi obraz ich kraju w ponętnych barwach życia demokratycznego. Ludzie w obozach polskich błagają o niezależną prasę polską, o książki, o polskie radio. Zamiast tego udostępnia się im przez brytyjskie i amerykańskie radiostacje oraz przez obcą prasę w polskim języku wszystko to, co wypracowuje propaganda sowiecka via Moskwa i Warszawa, za wyjątkiem tylko jej . . . silnych akcentów anty-zachodnich.

Cudzoziemcy, którzy wyjeżdżają z Polski i Polacy, którzy uciekają z tego raju — przynoszą wręcz przeciwne wiadomości. Wszystko to stwarza stan dezorientacji, chaosu i przygnębienia.

Zgodnie z tą polityką i polityką w stosunku do Polaków życie w Niemczech ma w sobie coś z domu wariatów. Niemcy mają wszystkie podstawy, aby z największą przyjemnością przyglądać się nędzy i wegetacji, jaką dla Polaków stworzyli okupanci. A przecież są to ci sami Polacy, których Niemcy właśnie wpędzili w tę nędzę i wegetację.

Ta polityka demoralizuje Niemców, bo jest mimowolną aprobatą ich stosunku do Polaków, ta polityka pogłębia lekceważenie Zachodu przez Rosję, która nie może szanować mocarstw kokietujących ją wyrzeczeniem się najwierniejszych swoich przyjaciół, ta polityka rujnuje jedność Zachodu.

A dlaczego to wszystko się dzieje? Narzuca się podejrzenie — oby błędne — że dzieje się to z motywów egoizmu, że społeczeństwa mocarstw zachodnich zaznawszy niewygody życia wojennego pragną za wszelką cenę dwóch rzeczy: spokoju i dobrobytu. Nie na wieki, nie na sto lat, nie na pięćdziesiąt, ale do końca swego życia, byle natychmiast. Pozostanie wielkiej ilości Polaków na emigracji wymagałoby wpuszczenia ich na osiedlenie do któregoś z dominiów, na któryś z olbrzymich obszarów będących w rękach mocarstw zachodnich.

Takie myśli nasuwały się nam podczas jazdy samochodem przez sezonowe "księstwo" polskie. Minęliśmy wielki napis "Bremen Port Command" i nagle jadąca przed nami ciężarówka wypełniona cywilną ludnością niemiecką i z napisem *"German Transport Column"* przystanęła; a my za nią. To posterunek amerykański sprawdza papiery samochodów. Jesteśmy na granicy "księstwa" amerykańskiego na terenie okupacji brytyjskiej. Jest nim obszar portu i miasta Bremy.

Samochód kieruje się w ulicę zamkniętą w głębi pięknym kościołem z dwiema wieżami pokrytymi zielenią patyny. Rzędy wielkich drzew osłaniają domy i ulica sprawia miłe wrażenie porządku i estetyki. Ale to tylko wrażenie, bo korony drzew zasłaniają domy pół-zrujnowane, miejscami wypalone, z oknami bez szyb. Połatany most przez Wezerę i znów zniszczenia, znów ruiny. A kiedy zagłębiamy się w ulice dzielnicy przemysłowej, ogarnia mnie uczucie wielkiego spokoju, jakiego doznawałem zawsze podczas zwiedzania Zagłębia Ruhry. Ten spokój wypływał z przeświadczenia, że jakiekolwiek byłyby błędy polityki powojennej, ten kraj tak prędko nie dźwignie się na nogi i do nowej zbrodniczej wojny.

Za miastem, przed wjazdem na nasyp autostrady do Hamburga, znów kontrola przeprowadzana przez amerykańskich żołnierzy. Wkraczamy w obszar innego "księstwa".

Właściwie nie wiem na czyim z kolei obszarze znaleźliśmy się po opuszczeniu amerykańskiej Bremy. Chyba na ziemi niczyjej, bo ta szeroka betonowa rzeka autostrady, której dwa płynące w przeciwnych kierunkach nurty są oddzielone zielonym pasem trawnika — jest pusta i bezpańska. I jest nudna, pozbawiona krajobrazów, a nawet rozkoszy doznawanej w szybkości, bo zesputa nawierzchnia po usuniętych przeszkodach niemieckich i wojskowe mosty, zbudowane na miejscu zniszczonych nie pozwalają na wyżycie się naszemu "Humberowi".

Przed Hamburgiem nowa przeszkoda na autostradzie. Oto na przestrzeni długich kilometrów prawa jezdnia jest zamknięta i ruch odbywa się dwukierunkowo na lewej stronie. Prawa natomiast stanowi potężny skład materiałów pędnych. Porządnie układane stosy beczek z olejem, baniek z benzyną i prawdopodobnie z naftą ciągną się jakby w nieskończoność. Zbliżamy się do Hamburga.

Cóż można nowego dodać do historii tego miasta napisanej przez lotnictwo alianckie w ciągu strasznych dla tego miasta lat wojny. Chyba tylko to, że pobliski fabryczny Harburg wygląda zdaleka nietknięty i nawet — rzecz nadzwyczaj rzadka w Niemczech — z jednego z licznych kominów wysnuwa się pasmo dymu. Ale już przy wjeździe do miasta beton autostrady jest popękany i sfalowany, jak po trzęsieniu ziemi. Potężne leje wwierciły się w ziemię po obu stronach drogi.

Hamburg właściwie nie istnieje. Trzy kwadranse jedzie się poprzez to wielkie miasto i przez trzy kwadranse widać tylko jedno wielkie cmentarzysko domów. Jest to widok wstrząsający nawet człowiekiem przyzwyczajonym do podobnych widoków w Niemczech. Dopiero na północnych przedmieściach widać cudem ocalałe fragmenty ulic i trochę sklepów, niespodziewanie dobrze zaopatrzonych w towary.

Za Hamburgiem przenosimy się znów do nowego "księstwa". O ile pierwsze było polskie, drugie — amerykańskie, Hamburg — powiedzmy brytyjskie, to to ostatnie "księstwo" — nasada półwyspu Jutlandii — jest, proszę mi wierzyć . . . niemieckie. Już na wstępie spotykamy kolumnę nowych brytyjskich samochodów z napisem *"Wehr"*. Są to wojskowe samochody niemieckie, które wiozą żołnierzy i marynarzy. Dalej widzimy oddział *Wehrmachtu* naprawiający linie telefoniczne. Mijamy jakiś obóz, bynajmniej nie jeńców: samochody, baraki, żołnierze, warty — wszystko wojsko niemieckie. Ruch na drogach reguluje *Wehrmacht*, samochodami rozbijają się oficerowie niemieccy. Butne miny wskazują, że w smak im te resztki i pozory władzy.

A koło Eckenförde niesamowity widok: dwu żołnierzy niemieckich z karabinami wysuniętymi do przodu zatrzymało samochód z "E.S." na szybie, a oficer niemiecki kontroluje papiery. Kierowcą samochodu jest polski marynarz, a pasażerami również polscy żołnierze — widać po mundurach: wszyscy b. jeńcy. I czy w sierpniu 1945 roku nie jest to scenka z domu wariatów?

Lepiej nie zagłębiać się w rozbiór tych zjawisk. Mój towarzysz podróży — major z Dywizji Pancernej patrząc na to przeżuwa jakieś słowa nie do napisania, a ja zaczynam się oddawać sentymentalnym nastrojom, bo widzę szare wody Bałtyku — najdroższego z mórz. Niemieckie statki bez żadnej bandery stoją na redzie, a blisko brzegu parę małych jednostek wojennej marynarki niemieckiej — z samolotami wymalowanymi koło dział przeciwlotniczych. Ma to oznaczać ilość strąconych samolotów alianckich.

Mostu na kanale Kilońskim pilnuje również *Wehrmacht*. Dalej jest malownicza panorama Szlezwiku i nadgraniczny Flensburg. Potem — Dania.

Gdyby Niemcy były urządzane dla przyszłości Europy, to właśnie tu u nasady półwyspu Jutlandii, nad kanałem Kilońskim, u bram wypadowych z Bałtyku, powinno już teraz zamiast "księstwa" niemieckiego, powstawać "księstwo" polskie. Te tak ważne obszary międzymorza bałtycko-północnego aż proszą się, aby osadzić na niej aliancką polską ludność, tę właśnie, którą na gwałt wypędza się teraz za "chiński mur".

Ale to było by krzywdą dla dobrych Niemców i obrazą dla czerwonego Bornholmu.

EUGENIUSZ ROMISZEWSKI

Tak mieszka ludność polska w pobitych Niemczech — w Holdern koło Wesel

"BATTLE OF BRITAIN": 7 sierpnia 1940 — 31 października 1940

NA SZLAKU NIEPRZERWANEJ WALKI

Gdy Winston Churchill przemawiał w Izbie Gmin o sytuacji wojennej i stanie "*emergency*," w jakim znalazła się Wielka Brytania — a było to 20 sierpnia roku 1940-ego — już wówczas na niebie brytyjskim polscy piloci pisali nowe dla siebie zwycięstwa. Już wówczas, 20 sierpnia 40-ego roku! Wprost nie do wiary.

Przy końcu bowiem września 1939-ego roku, po wyczerpaniu się paliwa i zużyciu ostatnich, zdolnych do walki maszyn, lotnictwo nasze przechodzi do Rumunii i przedziera się do Francji, by walczyć nadal. Walczy.

Między 15-ym a 25-ym czerwca — po klęsce Francji — piloci, personel latający i obsługi techniczne dążą do Anglii, by podjąć przerwaną walkę. Organizują się.

I już w lipcu tego samego roku pierwsi piloci polscy startują do boju w dywizjonach angielskich. Już w sierpniu, w niecałe dwa miesiące po przybyciu do Anglii latają operacyjnie dwa pełne polskie dywizjony myśliwskie!

Zdarzenia i fakty szybko ulatują z pamięci i życie płynąc szybkim nurtem zaciera dawne obrazy i wspomnienia. Ale historia, jak długa, spokojna fala Atlantyku wyrzuci kiedyś przybojem na swe karty przeszłość i czyny tych kilku, którzy w najcięższej chwili życia Wielkiego Imperium, stanęli najwierniejsi, by dzielić wspólnie los dobry, czy zły. Daj Boże, by ta fala powrotna przyniosła pokoleniom przyszłym okruchy dawnego szczęścia, wciąż żywych świetności, a nie odkryła ciekawym oczom kronikarzy, zwłok niepotrzebnych już nikomu — rozbitków.

JAK TO SIĘ ZACZĘŁO?

Gdy dzwony i syreny głosiły pokój tej szczęśliwej wyspie na której dane nam było walczyć po raz trzeci w tej wojnie — Lotnictwo polskie w Wielkiej Brytanii liczyło 14 dywizjonów bojowych: 10 dywizjonów myśliwskich i 4 dywizjony bombowe różnego rodzaju i przeznaczenia.

Jednak w roku 1940-ym, dywizjonów polskich było tylko dwa — i one przyjęły na siebie cały ciężar walki. Czas do treningu był krótki. Wielka Brytania gorączkowo przygotowywała się do inwazji i lada dzień "Luftwaffe," miała rzucić płomień wojny w te zaciszne dotychczas, spokojne miasta angielskie. "Luftwaffe" potężna, zwycięska i jak dotąd niepokonana.

Co mogła przeciwstawić jej Wielka Brytania? Wprawdzie kampania w Polsce i we Francji dała Wielkiej Brytanii bezcenne dziesięć miesięcy czasu, ale "Luftwaffe" budowano dziesięć lat — nie dziesięć miesięcy.

Więc kiedy przyszły dni próby, każdy pilot jeniony był na wagę złota i każda nowa maszyna była zbawieniem. Wszak pilotów myśliwskich przeszkolonych na "Hurricane'ach" było zaledwie 1.000, a samolotów do walki — tylko 640!!

Czerwiec 1940 — premier Churchill przyrzeka narodowi "trud, pot, i łzy." Czerwiec 1940 — przypływają do portów w Glasgow, Plymouth i Liverpool pierwsi piloci polscy z Francji. Piloci nieprzeszkoleni jeszcze na nowoczesnym sprzęcie angielskim. Piloci nie umiejący słowa po angielsku.

Tymczasem w lipcu, mamy już siedemdziesięciu sześciu pilotów polskich rozrzuconych w pięćdziesięciu dwu angielskich dywizjonach. Jak porozumiewają się oni przez radio, jak współpracują w powietrzu, pozostanie to ich tajemnicą. Wielu zna dwa, lub trzy słowa angielskie. Ale latają i maszyn nie "biją" — a to z punktu widzenia *Air Ministry* jest najważniejsze. *Fighter Command* czeka na Niemców i na pierwsze wiadomości o Polakach, jak będą strzelać?

Tymczasem, na gwałt, formują się dwa dywizjony polskie: 302 i słynny dziś na cały świat dywizjon 303. Przydzielają im początkowo dowódców angielskich, aby przynajmniej choć jeden w tym gronie znał ludzki język. Aby był ktoś, z kim ziemia mogłaby się dogadać w powietrzu. No i aby w

Znak Dywizjonu Kościuszkowskiego

ciągle alarmy lotnicze i naloty dają się pilotom i załogom ziemnym dobrze we znaki. Ale humoru nie psują. Personel w większości młody cieszy się życiem i lataniem nie przejmuje zbytnio sytuacją. Dewizą jest, jak najprędzej wejść do akcji, dlatego, za każdy błąd w *cockpit drill'u* /obsługa kabiny pilota/ — płaci się butelką wina. Korzyść podwójna, dla pijących i dla pilota. Ale kłopotów jest wiele: manetka od gazu działa odwrotnie, niż w samolotach kontynentalnych /pełen gaz do przodu — pamiętasz Kaziu jakeś postawił przy kołowaniu maszynę na łeb?/, podwozie, które trzeba wysunąć do lądowania i klapy, na których przecież startować nie wypada. No i angielski, angielski, angielski, którym zdawało się nawet małpy swobodnie mówią, prócz Polaków. Cholerny świat!

Humor więc był, "spiryt" też, maszyny również naprawiali mechanicy. Latanie szło. Aż w dniu 2-ego sierpnia 40 roku dywizjon wchodzi do akcji, jako drugi z kolei dywizjon polski.

NIERÓWNOŚĆ SZANSY I PIERWSZE SUKCESY

Tymczasem dywizjon 302 był w gorszym położeniu. Przydzielony do 9 grupy myśliwskiej, która nie była na drodze przelotów "Luftwaffe" mimo, że wcześniej był w akcji, mniej miał szczęścia do Niemców, nie chcieli pętać się w jego rejonie. Dopiero gdy przeszedł do 12 grupy myśliwskiej i przeniósł się na lotnisko Duxford, szczęście wojenne zaczęło się i do niego uśmiechać.

Początek działań obu tych dywizjonów charakteryzuje fakt ciekawy tym, że pierwsze *zwycięstwa w powietrzu odniesiono przed oficjalnym wejściem obydwu tych dywizjonów do operacji. I tak dywizjon 302 zestrzeliwuje pierwszego Niemca w dniu 20 sierpnia podczas patrolu, a dywizjon 303, podczas ćwiczeń ostrego strzelania na dzień przed wejściem do akcji. Oto opis tej walki jak zanotowano ją w dzienniku dyonu:

"*Northolt, dnia 30 sierpnia 1940 roku. Lot ćwiczebny. 6 samolotów wystartowało na ćwiczenia razem z "Blenheimami". W czasie wykonywania tego lotu nad St. Albans, nasi spotkali większą ilość nieprzyjaciela. Na jedną maszynę — a był to Dornier "Do 17" — która była bardziej oddalona od swego szyku, przeprowadza atak por. pil. Paszkiewicz i z odległości 250 yardów zaczyna maszynę n-pla ostrzeliwać. Prawy silnik n-pla stanął w płomieniach. Pilot wyskoczył ratując się na spadochronie.*"

Fighter Command odetchnęło: Polacy strzelają, to już dobrze. Zobaczymy co będzie dalej.

Następnego dnia, 31-go sierpnia dywizjon startuje w pełnym składzie:

o godzinie 18.00-eskadra "A" — 6 samolotów,

o godzinie 18.05—eskadra "B" — również w 6 samolotów.

Maszyny lądują z przerwami około godziny 19-tej. Ostatnia o 19.04. Eskadra "A" nie spotkała nieprzyjaciela, eskadra "B" wraca po walce. Oto przekład raportu angielskiego:

"*... Eskadra "B" w szyku trójkowym, klucz czerwony atakuje pierwszy. Piloci wybrali samoloty nieprzyjaciela schodząc do ataku. Pierwszych Niemców zapala S/Ldr. Kellet i sierż. Karubin — Niemcy robią wywrót i idą piką do ziemi. Sierż. Szaposznikow trzeci z kluczą atakuje swego i widzi, jak po serii z maszyny Niemca buchają płomienie i dym.*

W tym czasie drugi klucz eskadry "B," żółty, zobaczył 6 "Messerschmitt'ów 109" — goni za nimi, atakuje indywidualnie. Porucznik Henneberg dochodzi swego "Me 109" dopiero nad morzem 10 mil od Dover, strzela i widzi jak nieprzyjaciel wpada do morza. Ppor. Ferić w pierwszej serii zapala Niemca, maszyna płonie, pilot skacze na spadochronie. Sierż. Wünsche widzi jak jego Niemiec najpierw silnie dymi, a potem bucha płomieniem po strzałach. Piloci i maszyny dyonu powracają bez strat".

Eskadra "B" wystartowała w składzie: 1/ S/Ldr. Kellet, 2/ por. Henneberg, 3/ ppor. Ferić, 4/ sierż. Karubin, 5/ sierż. Szaposznikow, 6/ sierż Wünsche.

Rezultat walki: 6 — Me 109 — zestrzelone napewno.

W *Fighter Command* zatarto z zadowoleniem ręce: "*there is something in it*"! I nawet *Air Ministry* uśmiechnęło się blado kącikiem ust, wybaczając "*bad language of Poles*"/ naturalnie w radio pokładowym/.

Tak zaczęła się dla nas "*Battle of Britain.*"

PIERWSZE FAZY BITWY

'Luftwaffe" rozegrała /przegrała/ "Bitwę o Wielką Brytanię" w czterech okresach:

1/ ataki na porty i żeglugę,

2/ ataki na lotniska i fabryki przemysłu lotniczego,

3/ ataki dzienne na Londyn /punkt szczytowy '*Battle of Britain*",

wizjonach angielskich zestrzelili 29 pewnych i 2 prawdopodobne samoloty n-pla, uszkadzając 9 dalszych ze stratą 7 pilotów własnych. Czyli w stosunku do Lotnictwa Królewskiego Polacy zestrzelili 4% samolotów ze stratą 7% pilotów w porównaniu do strat R.A.F.'u.

Lecz już w następnym okresie od 19 sierpnia 40-go roku do 7 września, gdy weszły do akcji oba nowo zformowane dywizjony polskie, stosunek ten się zmienia. W okresie tym — atakowania lotnisk i przemysłu lotniczego, — lotnictwo Królewskie zestrzeliwuje 562 samoloty niemieckie ze stratą 219 maszyn i 87 pilotów własnych.

W tym czasie polscy piloci zestrzeliwują 36 maszyn napewno, 9 prawdopodobnie i 6½ uszkadzając. Straty w tym wypadku wynoszą tylko 3 pilotów. Czyli w stosunku

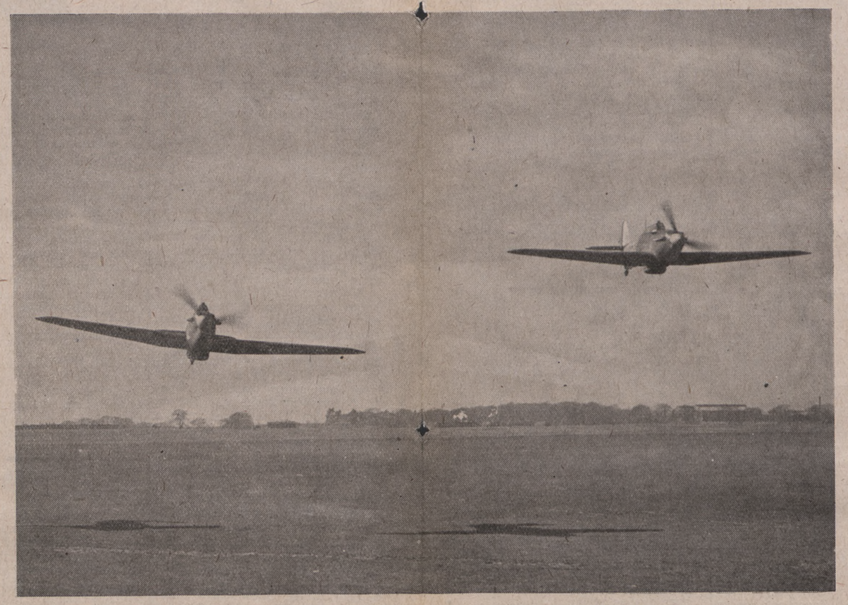

"Hurricane'y" z "Battle of Britain": powrót dwójki po zwycięstwie

towarzyszył ich kolegom z dyonów polskich i choć nazwiska ich nie dotarły do prasy, pracę jaką wykonali R.A.F. ocenił. Rozrzuceni pojedyńczo lub po dwóch, po różnych, odległych dywizjonach angielskich pamiętali zawsze, że otoczenie, w którym żyli, oceni ich i osądzi za całość tego nowego, nieznanego jeszcze, polskiego lotnictwa.

Oto garść opinii Dowódców brytyjskich o Polakach przydzielonych do podległych im jednostek:

D-ca 143 dyonu R.A.F.: "... "*... a superb pilot*"... /wspaniały pilot/. D-ca 5 O.T.U.: "*... an able pilot. Has done extremely well with the squadron...*" D-ca 145 dyonu R.A.F.: "*... a very sound type. Discipline and morale first class...*" /świetny typ. Duch i dyscyplina pierwszej klasy/.

D-ca 85 dyonu R.A.F.: "*... a very good and intelligent pilot*" /bardzo dobry i inteligentny pilot./

D-ca 616 dyonu R.A.F.: "*... I cannot speak too highly of the conduct of these two officers. ... Their conduct and discipline was exemplary.*"

Tak dowódcy angielscy wyrażają się o pilotach polskich. Nic też dziwnego, że nie chcą oddać ich nowotworzącym się dalszym jednostkom polskim. Dobre imię i sława polskiego lotnictwa rośnie.

SZCZYTOWE NATĘŻENIE WALKI

Przychodzi wrzesień — fatalny miesiąc dla "Luftwaffe." Ataki na Londyn. Ciężki dla mieszkańców Londynu i ciężki dla myśliwców obrony. Goering rzuca na szalę wszystko i nie mogąc pokonać lotnictwa brytyjskiego w powietrzu, chce złamać ducha stolicy, by choć w ten spósob wygrać wojnę.

Idą wyprawy za wyprawą: nurkowce "Ju 87," bombowce "Ju 88," "Heinkle 111," "Dornier'y Do 17," i "Do 215," w potężnej osłonie myśliwskiej "Messerschmitt'ów 109", "Me 110" i "He 113". Idą po 100, 200, 400 maszyn. Idą równocześnie na kilka ceil, by zmylić i rozproszyć obronę.

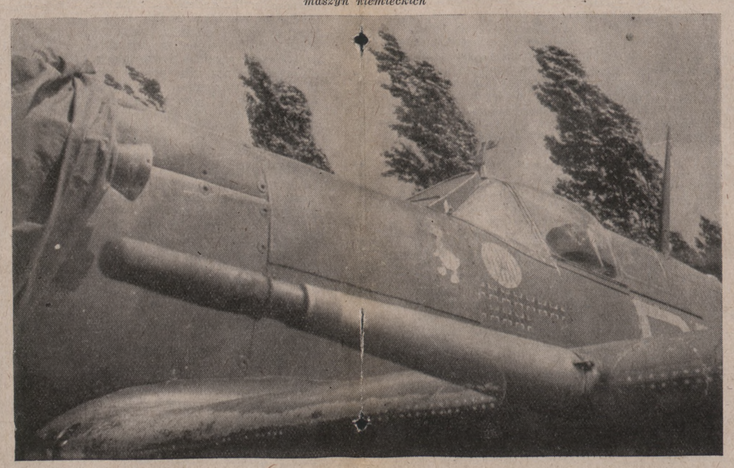

Samolot z Dywizjonu 303: pod znakiem dywizjonowym krzyże, oznaczające ilość zestrzelonych maszyn niemieckich

Pilotom na "Hurricane'ach" i "Spitfire'ach" już mdleją ręce z wysiłku i płucom brak oddechu. Starty po trzy, cztery, pięć razy dziennie!! Starty na tlenie z ziemi i maksymalnym wznoszeniu do 20-30.000 stóp!! Morderstwo dla serca i płuc. W gwałtownych zmianach ciśnienia, z krwi wydziela się w żyłach azot. W pogoni za nieprzyjacielem w skrętach, odpływająca krew z mózgu, zamracza i ubezwładnia pilotów.

Na Atlantyku okręty podwodne przychwytują konwoje z żywnością i racje są coraz mniejsze. Noce krótkie, a dnie takie długie. Przekrwione zmęczeniem oczy marzą o chwili wypoczynku. Walka wciąż trwa — w najwyższym, szczytowym natężeniu. Walka o życie Londynu, walka o życie Imperium Brytyjskiego.

Piloci wychodząc z maszyn słaniają się ze zmęczenia. Zaczynają rosnąć straty, przy powrocie z lotu, przy lądowaniu. Przemęczenie...

W okresie tym, Polacy tracą w stosunku do R.A.F. 17% swych pilotów. Ale walka trwa nadal. Jest to zresztą okres największych sukcesów polskich. Dywizjon 302 przeniesiony z Leconfield do Duxford odnosi jedno z najpiękniejszych swych zwycięstw: w dniu 15 września w walce z ogromną przewagą nieprzyjaciela, zestrzeliwuje 8 samolotów niemieckich napewno i 5 prawdopodobnie, rozbijając całkowicie szyki formacji bombowych. Za wyczyn tego dnia otrzymują depeszę od Szefa Sztabu Lotnictwa Królewskiego w brzmieniu:

"*Adressed to 302 /Polish/ Squadron, repeat 12 Group, repeat Fighter Command.*

— Well done 302 Squadron. Your success yesterday is an outstanding example of the fighting which is frustrating the enemy attack. Keep up. —*Newell.*

I znowu w dniu 18 września dywizjon startując trzykrotnie, w czasie ostatniego w tym dniu lotu rozbija formacje bombowców atakujących Londyn. W spotkaniu tym dywizjon znalazł się w środku szyków nieprzyjaciela. Wywiązała się walka, w której dywizjon zestrzelił 5 samolotów niemieckich napewno i 2 prawdopodobnie. I znów płyną gratulacje i depesze. Air ViceMarshall T. Leigh-Mallory przesyła fonogram: "*Heartiest congratulation on your outstanding achievements on both Sept. 15 and 18th. The keenness and galantry displayed in the combats reflects the greatest credit on all members of the Squadron. Good luck to you.*"

SUKCESY DYWIZJONU KOŚCIUSZKOWSKIEGO

W tym samym czasie dywizjon 303 odnosi bodaj większe jeszcze sukcesy. Po kilku "skromniejszych" zwycięstwach w pierwszych dniach września dywizjonowi podchodzi passa, która trwać będzie nieprzerwanie, prawie do końca tego okresu "Bitwy o Wielką Brytanię".

5-go września dywizjon zestrzeliwuje:

5 — "Me 109"
3 — "Ju 88"
napewno
1 — "Me 109" prawdopodobnie.

6-go września w obronie Londynu dywizjon wiąże się w walce z ogromną przewagą nieprzyjaciela zestrzeliwując:

5 — "Me 109"
1 — "He 111"
napewno
2 — "Me 109"
1 — "Do 215"
prawdopodobnie.

traci jednak w spotkaniu 5 maszyn własnych, w tym dowódcę dywizjonu mjr. pil. Krasnodębskiego, który ciężko postrzelany i poparzony w palącym się samolocie, odszedł do szpitala. Dowództwo dywizjonu obejmuje wtedy jeszcze porucznik, dziś ppłk. pil. Witold Urbanowicz.

W dniu 7-go września startując w 12 samolotów w bezpośredniej osłonie Londynu dywizjon spotyka się znowu z bardzo silną formacją nieprzyjaciela. Atakując wyprawę bombowców "Dornier'ów 215" w potężnym ubezpieczeniu myśliwców "Me 109", dywizjon zestrzeliwuje:

11 — "Do 215"
3 — "Me 109"
napewno
2 — "Do 215"
2 — "Me 109"
prawdopobnie

Za zwycięstwo to otrzymuje specjalną pochwałę przysłaną przez Ministra Lotnictwa Królewskiego Sir Archibald Sinclair na ręce gen. Sikorskiego.

W dniu 11-go września dywizjon startując znowu w składzie 12 maszyn stacza wspaniałą walkę, zestrzeliwuje na ogólną ilość 89 samolotów zniszczonych w tym dniu przez lotnictwo i artylerię przeciwlotniczą:

3 — "Do 215"
6 — "Me 109"
3 — "Me 110"
4 — "He 111"
napewno
1 — "Me 109" prawdopodobnie,

płaci jednak za to ceną 2 zabitych pilotów i 2 zniszczonych "Hurricane'ów."

I znów 15-go września, dywizjon startując dwukrotnie niszczy 16 samolotów niemieckich napewno i 1 prawdopodobnie, tracąc jednego pilota i 2 "Hurricane'y."

"POLES ARE WONDERFUL"

Płyną pochwały, gratulacje, depesze. Prasa pełna jest zachwytu nad Polakami. W Messach, piloci angielscy z reguły odcinają wszystkie dające się oderwać przyzwoicie guziki — na pamiątkę naturalnie. W barach w Londynie, nieznajomi ludzie fundują *whisky*.

Piloci polscy zestrzeliwują Niemców nad miasteczkami Anglii, na oczach ludności. Piloci polscy zestrzeleni, spływają na spadochronach na ziemię angielską /jeden drań dymiąc silnikiem lądował na promenadzie w Brighton!!/. Ludność pełna jest entuzjazmu: "*Poles are wonderful*". Przychodzą listy z Ameryki i Burmy.

I tak idą zwycięstwa dzień po dniu. Procent maszyn zestrzelonych przez Polaków wciąż rośnie. We wrześniu utrzymuje się średnio na 15% wszystkich samolotów zniszczonych napewno przez lotnictwo brytyjskie. Dni największej chwały polskich skrzydeł są to: 11-go września, gdy na 89 maszyn zestrzelonych przez lotnictwo brytyjskie, Polacy zniszczyli 16½ czyli 18%, 19-go września, gdy procent maszyn zniszczonych przez pilotów polskich wyniósł 25% — czyli równo ¼ ogólnych zestrzałów i dzień 26-go września, gdy piloci polscy zestrzelili 48% wszystkich zestrzelonych wtedy przez myślistwo brytyjskie samolotów.

FAZA KOŃCOWA

Kończy się miesiąc wrzesień i kończy szczytowe nasilenie działań lotnictwa niemieckiego.

"Luftwaffe" przechodzi do działań nękających: wycofuje większość bombowców a podwiesza bomby myśliwcom. Małymi grupkami pod osłoną myśliwców, lub nieraz pojedyńczo przekrada się "Luftwaffe" i nęka. Jeszcze próbuje walczyć, lecz jest to już jej śpiew łabędzi. Myśliwcy lotnictwa brytyjskiego zdali egzamin. Obronili Londyn.

W trzeciej fazie ataków dziennych na Londyn, R.A.F. zniszczył rekordową ilość maszyn n-pla, bo aż 883 samoloty. W tym piloci polscy zestrzelili 128 i ½ samolotów napewno, 21 prawdopodobnie i 13 uszkodzili.

Przychodzi październik i pogoda zaczyna się psuć. Ranki chłodne i w deszczu. Nad Londynem przewalają się zwały grubych chmur — świetna kryjówka i ochrona dla pojedyńczych maszyn niemieckich, duża przeszkoda dla lotnictwa obrony. Więc lotnicy bawią się w chowanego po chmurach.

W końcu Niemcy zmniejszają swoją aktywność. Ataki ich stają się dorywcze, coraz bardziej niezorganizowane. Aż w końcu zamierają zupełnie. Niemcy przechodzą w noc.

W ostatniej fazie od 6-go października 40 roku do 31 października tegoż roku R.A.F. zestrzelił 173 samoloty niemieckie, tracąc 100 maszyn i 43 pilotów. W tym czasie Polacy strącają 10 samolotów pewnych, 13 prawdopodobnych i 6½ uszkadzają. Straty własne: 3 pilotów.

Piloci polscy w dyonach brytyjskich, mocno przy końcu przetrzebieni, w ciągu całej bitwy mają na swoim koncie 78 samolotów pewnych, 16 prawdopodobnych i 28 uszkodzonych.

Tak zakończyła się dla "Luftwaffe" niesławna jej wyprawa po złote runo. "*Battle of Britain*".

OGÓLNY RACHUNEK

W całej tej wielkiej rozprawie powietrznej trwającej przeszło trzy miesiące piloci, myśliwcy R.A.F. zestrzelili: 2,315 samolotów "Luftwaffe". Stracili 602 maszyny własne i 298 pilotów.

Polscy myśliwcy zestrzelili 203½ samolotów napewno, 35 prawdopodobnie i 35 uszkodzili. Cyfra ta stanowi około 9% wszystkich zestrzelonych przez R.A.F. samolotów. W stosunku do strat brytyjskich, straciliśmy 9% pilotów.

A było nas wtedy, tylko dwa dywizjony i garstka pilotów w dywizjonach brytyjskich. Dwa dywizjony pilotów, którzy nie umieli nawet mówić po angielsku, aby wykłócić się o należne im, zestrzelone maszyny. Pilotów, którzy atakując podchodzili do 150 yardów i bliżej, nim otworzyli ogień — świadczy o tym najlepiej liczba samolotów zniszczonych prawdopodobnie. Jest ich tylko 17%! Reszta, zestrzelone napewno. Takie były "302 *and* 303 *Polish Squadrons*"! Nie lepsze i nie gorsze od innych polskich dywizjonów w tym czasie. Po prostu, ci mieli szczęście, że weszli do akcji — pierwsi.

Na czoło pilotów polskich /pod względem ilości zestrzelonych maszyn/ wysunęli się w tym czasie:

1/ ppor. W/O pil. Józef Frantisek — 17 pewnych, 1 prawdopodobny.

2/ ppłk. W/cdr. pil. Witold Urbanowicz — 15 pewnych, 1 prawdopodobny.

3/ kpt. S/Ldr. pil. Antoni Głowacki — 8 pewnych, 1 prawd., 3 uszkodzonych.

4/ kpt.S/Ldr. pil. Zdzisław Henneberg — 8 pewnych, 1 prawd., 1 uszkodzony,

5/ mjr. W/cdr. pil. Jan Zumbach 8 pewnych, 1 prawd.

CO ZAPISANE W NIEBIE, NIE JEST PAMIĘTANE NA ZIEMI

Koleżeństwo i współpraca z "*Battle of Britain*" przetrwała. Gdy w dniu 15-tym września 1945 roku, w piątą rocznicę "Bitwy o Wielką Brytanię" 25 dywizjonów defilowało w szykach nad Trafalgar Square — 5 pośród nich było polskich. Jedna piąta całości! R.A.F. oddał w powietrzu należne miejsce Polakom. Za bitwę o Londyn i Anglię, za D-day, za pięć lat niestrudzonej walki. Szkoda, że tradycje skrzydeł — tak obce są człowiekowi na ziemi.

Powoli pył zapomnienia pokrywa ludzi i fakty, a przybój załał już piaski plaż, gdzie spadały strzępy zestrzelonych samolotów, wlokąc kiście dymów. Więc szumią gniewnie krótkie, spiętrzone fale La Manche i nuca cicho długie, spokojne fale Atlantyku, w ich objęciu śnią o dawnych bojach i przewagach piloci "Hurricane'ów" i "Spitfire'ów" załogi "Sterling'ów" i "Lancaster'ów", "Liberator'ów", "Sunderland'ów", "Whitley'ów" i "Wellington'ów." Załogi brytyjskie, amerykańskie, polskie, czeskie, francuskie, i norweskie, belgijskie i holenderskie. Załogi z Dominiów i z Kolonii. Załogi z Ameryki Łacińskiej i innych odległych krajów.

Śpią piloci, nawigatorzy i strzelcy. Radiooperatorzy i mechanicy pokładowi. A przede wszystkim ci pierwsi, ci nieliczni — piloci z "*Battle of Britain.*" Wszyscy zbratani śmiercią w obronie prawa do Ojczyzny!

Czy świat zrozumie kiedyś wymowę tej krwi?

JERZY GŁĘBOCKI

Znak Dywizjonu Poznańskiego

Noce bez tchu

AKT DRUGI /dokończenie/

ŚWIDRZYŃSKI: Kto panów przysłał?

PIERWSZY ŻYD /przerażony/: My to zaraz, proszę pana!

DRUGI ŻYD /rozsądnie i bacznie przyglądając się Świdrzyńskiemu/: Nie, czekaj pan, panie! . . . Przysłał nas führer od robót . .

ŚWIDRZYŃSKI: Sam przysłał?

PIERWSZY ŻYD: Co znaczy sam? Przyszedł ten pan w zielonej bekieszy i powiedział temu od robót . . .

DRUGI ŻYD /bardzo niezadowolony/: Nie . . . Ja nic nie widziałem . . .

PIERWSZY ŻYD /patrząc na towarzysza, domyśla się, że powiedział za dużo i przeraża się jeszcze bardziej/: Właściwie ja też nie wiem! . . .

ŚWIDRZYŃSKI /żuje coś przez pewien czas. Potem z trudem hamując się/: A więc z Bogiem! Panowie! Z Bogiem! . . . proszę wyjść przez furtkę, potem trzeba skręcić na prawo i wciąż w dół, aż do Wisły. Łopaty rzucicie po drodze. Stamtąd można spokojnie do miasta.

PIERWSZY ŻYD /ze strachem zerknąwszy na towarzysza/: My? . . . Nie, proszę pana, ja przyszedłem żeby węgiel!

ŚWIDRZYŃSKI /już nie panując nad sobą/: A ja nie pozwolę.

PIERWSZY ŻYD /niemal drżąc/: Proszę pana!

DRUGI ŻYD /przerywa niecierpliwie/: Nie . . . przestań pan! Panie Świdrzyński, ja . . . ja zauważyłem, że jest pan porządny człowiek. Może pan mnie zna z widzenia. Miałem przecież jeden z najlepszych antykwariatów na Świętokrzyskiej. Napewno pan mnie widział. Zdaje się, że to pan u mnie kupił biedermayerowską komodę? Ale ja się pytam? co komu dzisiaj z takiej komody? . . . Otóż, w każdym razie ja mam do pana zaufanie. Przypuszczam, że coś jest nie w porządku. Bo i skąd taki człowiek jak pan, ma być w to wplątany? . . . Ale niech że pan zrozumie i nasze położenie! Jeśli my nie wrócimy, to przecież oni mają nasze adresy . . . A w domu są dzieci, żony, rodzice! . . . Co oni z nimi zrobią? */Wskazując pierwszego Żyda/:* On coś o tym wie! Jemu żonę zbito tak, że ona już ze szpitala chyba nie wyjdzie!

ŚWIDRZYŃSKI: Ale przynajmniej możecie usiąść. Odpocząć!

PIERWSZY ŻYD: A pan myśli, że oni się odrazu nie dowiedzą?

DRUGI ŻYD: Przecież chodzi o pierwszorzędną rzecz — o życie! Będziemy sobie ten węgielek powolutku sypali . . . Gdyby się taka tylko robota zdarzała — to byłby raj! . . .

ŚWIDRZYŃSKI /wybuchając/: Nie wolno! Wracajcie! Proszę powiedzieć, że . . . że . . . nie chciałem . . . że nie mogłem się pogodzić z tym, że . . .

URSZULA /półgłosem/: Dziadku! . . .

DRUGI ŻYD /czujnie pochwyciwszy w jej głosie ostrzegawczą nutkę/: Widzi Pan, pani rozumie . . . Chodźmy, panie Wajzbrot. */Znikają za domem. Słychać, jak wbijają łopaty w koks/.*

GÓRSKI /patrząc za nimi w przejście/: Nie tak, nie tak . . . Proszę zrzucać tymczasem na ziemię! . . . I proszę po grządkach nie chodzić! . . . */Pauza. Świdrzyński i Górski przez chwilę nieruchomieją. Wilczyński nie rozumiejąc ich wzroku, wyciąga szyję./*

WILCZYŃSKI: Co panowie tam widzą? */Ale już i Świdrzyński i Górski wyprostowali się spokojnie/.*

URSZULA /w oknie/: Dziadku, poproś pana Wilczyńskiego, żeby pokazał . . . jak szyby wstawić. Panowie wejdą do środka.

WILCZYŃSKI: Owszem, z przyjemnością . . . */Podciągając za rzemyk nogę, kusztyka po schodkach. Świdrzyński idzie w ślad za nim/.*

URSZULA / gdy Wilczyński znika za drzwiami, do dziadka/: Zatrzymasz go jak najdłużej! */Świdrzyński kiwa głową i znika. Urszula chłodno, z góry patrzy na pozostałego w środku podwórka Górskiego/:* Jest pan trochę za ponury. Trzeba naturalniej. Nie mógłby pan się uśmiechnąć?

GÓRSKI: Pewnie, że mogę. */Bardzo nienaturalnie wyszczerza zęby/.*

URSZULA: Nie, to już lepiej niech się pan nie uśmiecha! Ma pan na oku?

GÓRSKI /patrząc za dom, w przejście/: Maam!

URSZULA /po przez szurgot sypiącego się koksu i brzęk łopat/: Kiedy skończą, przeniesiecie razem z deską? Pan go przywiązał?

GÓRSKI: Przymocowałem do drzwi drutem.

URSZULA: Przeniesiecie na wózek, a potem trzeba będzie z powrotem przysypać koksem.

GÓRSKI /beztrosko/: Wieem.

URSZULA: Panom to dużo czasu zajmie?

GÓRSKI: Z pół godziny.

URSZULA: Bo, bo ja muszę wiedzieć, jak długo tamtego przytrzymać. Niech pan się ciągle nie odwraca. Stoję i patrzę. Kiedy zobaczę, że idzie, powiem coś . . . coś powiem . . . no dajmy na to . . . słońce już nie grzeje . . .

GÓRSKI: Dobrze . . . Wilczyńskiego lepiej się pozbyć.

URSZULA: Ja go dla siebie tymczasem zostawiłam. Ale jak trzeba, to się pozbędziemy. Idzie o to, że prawdopodobnie będę musiała . : . */gest, mający oznaczać, że ma na myśli Krygiera/* . . . zaciągnąć do domu . . . żeby tu nie przeszkadzał. Chciałabym, żeby wtedy ktoś był w pobliżu. Bo . . . */ten sam gest/* . . . ma usposobienie raczej murzyńskie, niż nordyckie.

GÓRSKI /nagle, patrząc w przejście między domem a ogrodzeniem/: Nie, nie, panie! Niech pan tam nie siada! . . . */Cisza./*

URSZULA /spokojnie/: Chciał usiąść na drzwiach?

GÓRSKI: Tak. */Przerwa./*

URSZULA: . . . już spaliłam.

GÓRSKI /uśmiechając się sztucznie, rysuje w powietrzu rękami coś w rodzaju walizki, którą podchwytuje za niewidzialną rączkę/: Taak? pani o tym?

URSZULA: Tak . . . mówiłam panu, żeby się pan tak nie uśmiechał. Przecież to Bóg wie, jak z boku wygląda. */Już nie słychać ani brzęku łopat, ani szmeru sypiącego się koksu. Zza rogu, ostrożnie wychyla się drugi Żyd./*

DRUGI ŻYD: Czy już to wszystko? Można powiedzieć, że tam nic nie było.

GÓRSKI: Wszystko, panowie.

URSZULA: Idą?

GÓRSKI: Jeszcze nie . . . */Przerwa./* Rozmawiają ze sobą. */Słychać dudnienie głosów./*

URSZULA: Niech pan pokaże gdzie to było?

GÓRSKI /nieznacznie podnosząc ramię wskazuje za dom w przejście/: Z tamtej strony. Wyszedł tędy. Zza węgła.

URSZULA: Dlaczego tak . . . cicho to się odbyło?

GÓRSKI: Taki ze względu na rangę nie będzie wołał ratunku.

URSZULA /po przerwie/: Są?

GÓRSKI: Są . . . Zetknęliśmy się w ciemnościach jak dwa samochody. Wypuścił z rąk walizkę i odrazu za . . . */łapie się za gardło/.*

URSZULA /przerywa ostrzegawczo/: Dosyć.

GÓRSKI /po przerwie/: Już idą! Wreszcie!

PIERWSZY ŻYD /wychylając się zza domu/: Może coś jeszcze potrzeba?

GÓRSKI: Nie, panowie. Z Bogiem.

DRUGI ŻYD: Dziękujemy . . . */Uniżenie kłaniając się obaj oddodchodzą/.*

URSZULA: W samą porę. */Nie zmieniając tonu./* O właśnie! Słońce świeci, ale zupełnie, zupełnie nie grzeje. */Górski szybko, nie odwracając się, idzie w lewo za dom. Natomiast za ogrodzeniem ukazuje się pan w kapeluszu i w kurtce myśliwskiej. Wiemy już obecnie, że jest to sąsiad państwa Świdrzyńskich p. Leopold Krygier. Spostrzegłszy Urszulę, stojącą w oknie, zamiera i wychwytuje z ust fajkę. Uchyla kapelusza./*

KRYGIER /zdławionym głosem/: Dzień dobry pani.

URSZULA: Dzień dobry.

KRYGIER: Czy nie zechciałaby pani wyjść? przecież to ostatnie słoneczko przed zimą.

URSZULA: Zaraz zejdę.

/Znika w oknie, potem wychodzi przez drzwi i zwolna schodzi po stopniach. Idzie do ogrodzenia. Widocznie w pewnej chwili spostrzegła coś w przejściu, bo potyka się nieznacznie — ale już w chwili następnej, opanowawszy rytm kroku, bez śladów jakiegokolwiek wzruszenia, podchodzi do sztachet i podaje Krygierowi rękę./

KRYGIER: Pani znowu wygląda dzisiaj inaczej. Każdy raz inaczej. Zawsze pani ma takie jasne oczy, a dzisiaj ciemne . . . Dlaczego?

URSZULA: Czy to pan przysłał tych panów?

KRYGIER: Jakich panów?

URSZULA: Do roboty.

KRYGIER: Ah, panów z gwiazdami! . . . */Jest trochę ubawiony. Nie kryjąc zadowolenia z samego siebie./* Nie mogłem przecież powziąć, żeby pani sama! Zresztą to taki drobiazg! Nie warto dziękować!

URSZULA /chłodno/: Ja nie dziękuję!

KRYGIER /połapawszy się w tym chłodzie/: A wie pani . . . dlaczego ja to zrobiłem?

URSZULA: Może żeby się znęcać?

KRYGIER /z wyrzutem/: Panno Urszulo! chciałem tym biedakom pomóc!

URSZULA: Nie wiedziałam, że jest pan z Niemcami aż w takich stosunkach, że może zwalniać z robót.

KRYGIER: Nie potrzeba stosunków! Wystarczy dobrze znać język. A przecież pani wie, że ukończyłem studia we Wiedniu! Cudne miasto! . . . */Przechyla się przez ogrodzenie/:* Chciałem pani coś powiedzieć . . . Ale . . . kto się tam kręci? . . . */patrzy za dom/.*

URSZULA: Może to do dziadka.

KRYGIER /woła/: Panie!

GŁOS GÓRSKIEGO /zza domu/: Co takiego?

URSZULA: Co on panu przeszkadza?

KRYGIER: Chce pan papierosa?

GÓRSKI /podchodząc swobodnie/: Jeżeli pan da.

KRYGIER /dając mu gumową torebkę/: To niech pan sobie skręci z fajkowego.

GÓRSKI /przesypując tytoń między palcami/: Mała rzecz! Gdański!

KRYGIER: Pan tutejszy?

GÓRSKI /głupkowato/: Ja!

KRYGIER /zniecierpliwiony/: No, pan!

GÓRSKI: Jak to tutejszy! Gdański! Odrazu widać!

KRYGIER /wzdychając niecierpliwie/: Aa! . . . a co pan tu robi? czeka na kogo?

GÓRSKI /z tępym gniewem/: Wiadomo, że czekam! Na Wilczyńskiego! Cóż z tego, że pożyczyłem mu konia, kiedy mi się akurat zarobek trafił! Niech teraz odda konia, albo sam płaci!

KRYGIER: Aha . . . To pański koń?

GÓRSKI: A czyj?

KRYGIER /machnąwszy ręką/: No to idźcie już sobie! */Górski znika za domem:* Gdzieby się schować od ludzi? . . .

URSZULA: Może u nas?

KRYGIER /drgnąwszy radośnie/: Co pani powiedziała? */Urszula milczy./* Może wreszcie pozwoliłaby pani złożyć państwu wizytę ? Naprawdę? Tak dawno o to proszę! . . . Zaraz przeskoczę przez płot! . . . */Podchwytując jej dłoń./* O, nie trzeba wyrywać ręki! . . . Proszę podejść bliżej . . . bliżej! . . . */Urszula robi kilka kroków wzdłuż ogrodzenia i przystaje./*

URSZULA /martwym głosem/: Dokąd mnie pan prowadzi?

KRYGIER /wskazując w przejście, wzdłuż ogrodzenia, za dom./: Tam, widzi pani . . . Tam, gdzie leży ta deska na grządkach. Przynajmniej tam sucho . . . Nie mogę patrzeć, jak pani stoi w błocie w swych cieniutkich pantofelkach . . .

URSZULA /przystając/: Jest mi dobrze, gdzie jestem.

KRYGIER: Przeskoczę i upadnę do pani stópek . . . Tak bym pragnął leżeć tutaj, u nóżek pani, zabłoconych miłych nóżek . . . Czemu się pani uśmiecha?

URSZULA: Bo może i jabym tego chciała . . .

KRYGIER: Co . . . */lecz wstrzymuje westchnienie, bo drzwi ganku otwierają się i ukazuje się Wilczyński. Wychylony przez okno Świdrzyński, najwidoczniej zaniepokojony, woła w ślad za nim/.*

ŚWIDRZYŃSKI: Niech pan jeszcze chwilkę poczeka!

WILCZYŃSKI: Kiedyż nie mogę, panie szanowny!

URSZULA /odwracając głowę/: Wstawił pan szyby?

WILCZYŃSKI: Przymocowałem sztyfcikami. Trzeba będzie kitu zgotować . . . Aj, aj, zapomniałem obrazki */wraca/.*

KRYGIER: Jesteśmy naprawdę jak na placu publicznym. Więc pozwala pani? Przyjdę zaraz. Na pół godziny.

URSZULA: Dobrze, tylko niech pan obejdzie naokoło */Krygier znika. Wówczas zza domu szybko wychodzi Górski./*

GÓRSKI: Trzeba spławić Wilczyńskiego. Nic nie rozumie. Jeszcze wsypie nas wszystkich! */Jednocześnie na ganek wychodzą Świdrzyński i Wilczyński./*

URSZULA /z kiwnięciem głowy w ich stronę/: Proszę powiedzieć ojcu! */Górski biegnie przez podwórko, chwyta Świdrzyńskiego za rękę i coś mu szepcze do ucha./*

ŚWIDRZYŃSKI: Dobrze, zaraz! */Podnosząc głos do Wilczyńskiego./* Nie! nie mogę się zgodzić! jestem obrażony! I tego koksu przyjąć od pana nie mogę! Nie, nie, nie! . . . Nie chcę! . . . */w przejściu ukazuje się zaciekawiony Krygier./* Muszę panu zapłacić, albo niech pan zabiera koks z powrotem!

WILCZYŃSKI /oszołomiony/: Czy pan tego!

ŚWIDRZYŃSKI: Nie potrzebuję niczyjej łaski! */Udając, że dopiero teraz spostrzega Krygiera./* A to pan?

KRYGIER: Do państwa z wizytą. Po sąsiedzku. Wieczorem chodzić nam nie pozwalają, to my będziemy z rana. Nieprawdaż? Dobre czasy, co?

ŚWIDRZYŃSKI /jeszcze sapiąc/: Właśnie, właśnie . . . */Krygier podchodząc do Urszuli i razem z nią idąc na ganek/.*

KRYGIER /psim, uniżonym wzrokiem oglądając jej pantofelki/: Widzi pani, ile błotka! */wchodzą na ganek./*

ŚWIDRZYŃSKI /znowu unosząc się sztucznie/: Nie! niech pan, panie Wilczyński więcej o tym nawet nie mówi! */Krygier przystaje pod drzwiami./* Jeżeli pan nie chce, to trudno! . . . */do Górskiego/.* Pomoże mi pan ładować koks z powrotem? . . .

KRYGIER: No niech pani zobaczy, wszędzie waśnie. I jak pani chce, żeby nie było wojny, skoro nawet przyjaciele się kłócą! */wzdycha, razem z Urszulą znikają za drzwiami. Wówczas Świdrzyński chwyta Wilczyńskiego za ramię i potrząsa nim z całej siły./*

ŚWIDRZYŃSKI: Idź pan! idźże pan! */Teraz dopiero Wilczyński po jego twarzy rozumie, że się coś stało i pośpiesznie kusztyka za dom. W oknie nie widać nikogo. Wtedy Górski rzuca papierosa na ziemię i podnosi rękę./*

GÓRSKI: Już można! . . . */I oto, obaj ze Świdrzyńskim, biegną za dom wzdłuż ogrodzenia. Słychać jeszcze głos starego Świdrzyńskiego: "Niech pan bierze za deskę z tej strony! . . ." ale kurtyna już opadła./.*

MICHAŁ CHOROMAŃSKI

Por. nr. 36 i 38 "Polski Walczącej" z b.r.

Poszukiwania

Rodzina SUŁOCKICH, Łódź, Andrzeja 78, prosi o wiadomość telegraficzną:

1/. Tadeusza SUŁOCKIEGO, lat 25, przebywającego w obozie Blankenburg/Harz, numer jeńca 103735.

2/. Stanisława SUŁOCKIEGO /seniora/, przebywającego do r. 1940 w Rosji.

3/. Braci: Stanisława i Adama SUŁOCKICH, wywiezionych z Warszawy po powstaniu.

Rodzina gen. Janusza GĄSIOROWSKIEGO prosi o wiadomości.

Zofia BRZOSTOWSKA, Łódź, Sosnowa 30, m.22, prosi o wiadomość o synie Juliuszu Włodzimierzu BRZOSTOWSKIM, urodzonym 13 maja 1926, przebywającym w Niemczech.

Politechnika Warszawska poszukuje profesora Romana TRECHCIŃSKIEGO, specjalisty z dziedziny teletechniki, który zaginął w czasie walki o tereny Politechniki Warszawskiej w dniu 18-19 sierpnia 1944. Wiadomość podać do Rektoratu Politechniki Warszawskiej Warszawa, Lwowska 7.

NOWICKA Irena, urodzona 3 grudnia 1927, Warszawa, była około 10 kwietnia 1945 w Szpitalu w HAGENOW, koło Hamburga. O wiadomość prosi ojciec w Pruszkowie.

Karol WEGNER, urodzony w Łowiczu 21.IV.1919, w czasie wojny był w Francji i w obozie w Mirandzie, w Hiszpanii. O wiadomość prosi dr. Jan WEGNER, Łowicz, ul. Nowy Rynek 4.

Inż Antoni KRZYCZKOWSKI poszukiwany przez p. PARNOWSKIEGO, Grodzisk pod Warszawą, Nadarzyńska Boczna 3.

Marian MANOWSKI ze Skoczowa na Śląsku poszukiwany przez dr. PIETERA w KATOWICACH, Szkolna 9.

Jadwiga WIERZEJSKA, bibliotekarka z Biblioteki Rapperswilskiej, poszukiwana przez. dr. MAKOWIECKiego. Wiadomość proszę skierować do Biblioteki Uniwersyteckiej, Warszawa, Krakowskie Przedm., 26/28.

Inż. Stefan BLANKENSTEIN, więzień obozu w Oświęcimiu, poszukiwany przez panią Wande ŁADNIEWSKĄ, Warszawa, Ministerstwo Oświaty, Aleja Szucha 25/11.

Major Leonard LEPSZY poszukiwany przez brata dr. Kazimierza LEPSZEGO z Krakowa. Wiadomość podać pod adresem Redakcji.

Roman Antoni CHMIEL, lotnik, poszukiwany przez matkę i siostrę w Bochni. Wiadomość podać pod adresem Redakcji.

Barbara Anna UKLEJSKA, przebywająca w Niemczech, poszukiwana przez matkę i siostrę w Warszawie, Chmielna 122. Podać wiadomość pod adresem Redakcji.

Wigmore Hall, Wigmore Street, W.1.
W niedzielę 7 października o godz. 2,30 pop.
odbędzie się
recital pianisty polskiego
MARIANA BŁASZCZYŃSKIEGO
Bilety w przedsprzedaży w Wigmore Hall /Welbeck 2141/ oraz Chappell & Co., 50, New Bond Street, W.1. /Mayfair 7600/.

ZWIĄZEK DZIENNIKARZY R.P.
urządza dnia 12 października o godz. 6,15 wiecz. w sali Alliance Hall
Wieczór poświęcony Powstaniu Warszawskiemu
Wezmą w nim udział uczestnicy Powstania: HANNA HRYNIEWIECKA, STANISŁAW JANKOWSKI ZBIGNIEW JASIŃSKI /"RUDY"/, JAN NOWAK, BOHDAN KWIATKOWSKI /"LEWAR"/ JÓZEF WIĘCKOWSKI
oraz następujący mówcy: JERZY LERSKI-JUR, STANISŁAW STROŃSKI, JÓZEF KISIELEWSKI, ANDRZEJ POMIAN, BRONISŁAW SKALAK, TYMON TERLECKI
wiersze z okresu Powstania odczyta: TOLA KORIAN
przewodniczyć będzie: ZYGMUNT NOWAKOWSKI
Wstęp 2/6 /dla szeregowych w mundurze 1/- /

TOWARZYSZ BRONI

PWSK na Bliskim Wschodzie

Grupa ochotniczek PWSK — szoferek, służących w II Korpusie Polskim we Włoszech

W Edinburghu zmarła w ubiegłym miesiącu ś.p. porucznik Bronisława Przystajko. Była ona swego czasu zastępczynią Komendantki PWSK na Bliskim Wschodzie. A jeszcze dawniej — żołnierzem Ochotniczej Legii Kobiet w zaraniu Niepodległości, Obrończynią Lwowa.

Rzec by można, iż życie ś.p. por. Przystajko nawiązywało do dwu pokoleń kobiet polskich. Tego, które pomagało narodzić się Niepodległości i tego, późniejszego, przed którym stanął w całej swojej brutalnej wymowie kataklizm wojny dzisiejszej.

PWSK obecnie działająca na terenie II Korpusu oraz Dowództwa Jednostek Wojska na Bliskim Wschodzie — zaczątkami swymi sięga września 1941 roku, gdy w Buzułuku, przy tworzącej się Armii Polskiej, zorganizowano Ośrodek Zborny dla Kobiet.

Pierwszy rozkaz organizacyjny okazuje się dopiero 6 stycznia 1942 roku.

Na wiosnę rozpoczyna się pierwsza ewakuacja Polskich Sił Zbrojnych ze Związku Sowieckiego. Latem 1942 roku w Palestynie zostaje zorganizowany na większą skalę ośrodek szkoleniowy, który daje przeszkolenie podstawowe, szkoli kadry instruktorskie, oraz wyłania specjalizacje.

Rozkaz z dnia 12 grudnia 1942 roku, podpisany przez gen. Władysława Andersa stwierdza, że członkinie Pomocniczej Służby Kobiet są żołnierzami służby czynnej. Rozkaz ten zachowuje stopnie funkcyjne, oraz odznaki funkcyjne, jakie uprzednio już zastosowano w ośrodku palestyńskim. Stopnie oficerskie: inspektorka główna, inspektorka, komendantka kompanii, komendantka plutonu. Podoficerskie: starsza przodowniczka, przodowniczka, drużynowa, sekcyjna, starsza ochotniczka. Zwykła członkini Pomocniczej Służby Kobiet jest "ochotniczką".

W dalszym rozwoju — na Bliskim Wschodzie powstają samodzielne kompanie i plutony, z tym, iż miejscowy Ośrodek Zapasowy zorganizował się jako batalion. Najbardziej wysuniętymi oddziałami PWSK na Bliskim Wschodzie są jednostki przydzielone do Dowództwa Bazy II Korpusu.

Do minionego roku, na terenie Bliskiego Wschodu z przyległościami — znajdowało się dobre parę tysięcy ochotniczek, w czym samych sióstr szpitalnych ponad pół tysiąca. Niezależnie zaś od powyższego obliczenia jeszcze bezmała pół tysiąca tak zwanych "młodszych ochotniczek".

Na czele całości tego licznego zespołu stoi pułkownik Bronisława Wysłouchowa.

Gdy przeglądacie wydawnictwa II Korpusu, a przede wszystkim świetne pismo ilustrowane "Parada" — bardzo często napotykacie zdjęcia, unaoczniające pracę ochotniczek tamtejszych. Przy kierownicy samochodu, czy przy polowej radiostacji, w szpitalu, w kantynie, w świetlicy. Dosłownie — wszędzie.

Godny podkreślenia jest fakt, że ochotniczki tamtejsze, mają własne czasopismo pod nazwą "Ochotniczka". Redaguje je znana pisarka dr. Herminia Naglerowa. Ukazało się pisma tego dotychczas 24 numery. Niezależnie od bitej w drukarni polowej, ilustrowanej "Ochotniczki", ukazuje się na powielaczu jako dodatek do "Biuletynu Obozowego" — "Ochotniczka na Środkowym Wschodzie".

W lipcowym numerze "Ochotniczki" zamieszczono reportaż "Podchorążówka "PSW", pióra pani Jadwigi Majewskiej. Wyjmujemy zeń parę charakterystycznych zdań: "Wysiłek nie poszedł na marne, a trzymiesięczne szkolenie wojskowe przygotowało do życia nie tylko wojskowego. Dało bowiem przede wszystkim wysokie poczucie dyscypliny wewnętrznej, tak koniecznej w życiu społecznym, tak bardzo koniecznej w warunkach, które nas czekają".

Te zdania przypuszczalnie całkowicie i w pełni odzwierciadlają ducha, jaki ożywia szeregi PWSK na Bliskim Wschodzie.

Tarnopolszczyzna

Pójdźcie do świetlicy, gdzie wisi mapa Polski, i przyjrzyjcie się uważniej ziemiom województwa Tarnopolskiego. Jest to trzecie z naszych województw południowo-wschodnich, graniczące wzdłuż Zbrucza z Sowietami.

Miastem wojewódzkim jest Tarnopol, liczący 33,900 ludności założony przez wielkiego hetmana, Jana Tarnowskiego, który w szesnastym wieku odniósł w walkach z najazdami tatarsko-tureckimi szereg wspaniałych zwycięstw. Łacińska nazwa nowozałożonego miasta —"Tarnopolis" — może bardziej, niż cokolwiek innego ukazuje związek Ojczyzny naszej z cywilizacją i kulturą rzymską, niesionych przez Polaków w te odległe wschodnie strony.

Jako województwo — Tarnopolszczyzna jest tworem sztucznym. Historycznie, jest częścią jednej z najstarszych polskich ziem — Grodów Czerwieńskich. Trembowla, słynna twierdza z utrwaloną na zawsze legendą Zofii Chrzanowskiej, wymieniana jest jako jeden z tych "grodów".

Północna część województwa nosi charakter lesistej niziny, położonej nad górnym Bugiem. Południowa jest częścią Podola. Rozgraniczenie między obu częściami Tarnopolszczyzny stanowią malownicze wzniesienia Woroniaków /pow. Złoczowski/, i Miodoborów /pow. Skałacki/.

Południowa Tarnopolszczyzna jako zachodnie Podole, od dawien dawna była terenem krwawych walk z najazdami. Ruiny i kurhany tu znajdujące się mówią po dziś dzień o przedmurzu chrześcijaństwa. To określenie: przedmurze w dziejach naszej Ojczyzny nic nie straciło na ważności po chwilę bieżącą . . .

Ziemia ta ma swoje silne i głębokie w czasie związki z polskością. Na zamku w Olesku urodził się był król Jan III Sobieski, ostatni ze sławnych królów dawnej Rzeczypospolitej. Zamek w Brzeżanach, opiewany przez Słowackiego, pono rozmiarami dorównuje Wawelowi. Ruiny Zbaraża i Trembowli, Czerwonygród, Jazłowiec, Buczacz, Okopy Świętej Trójcy, zastępujące obronnie przez lat trzydzieści utracony Kamieniec Podolski — wszystko, wszystko to powiązane jest wielowiekowym orężnym wysiłkiem, krzewieniem kultury i cywilizacji z Polską.

Ludność tego województwa jest mieszana. Na południu z przewagą ukraińską, na północy — polską, zasiedlona zwartym pasem od Lwowa, na Złoczów, Tarnopol, Skałat, ku Zbruczowi, i hen, daleko, za Zbrucz.

Tu biegnie tak zwany Czarny Szlak, którym posuwały się ku Polsce najazdy turecko-tatarskie. Wyjaśniają one wiele tutejszej historii. A być może najbardziej ów naturalny pęd ludności polskiej do osiedlania się na spustoszonej ziemi.

Pod względem gospodarczym Tarnopolszczyzna jest całkowicie ziemią rolniczą. Są tu warunki sprzyjające rozwojowi przemysłu konopianego, cukrowniczego. Strona południowa, objęta klimatem czarnomorskim rozwinęła sadownictwo, zakładano tam nawet — winnice.

I tu, jak gdziekolwiek indziej, możemy się przekonać, ile złego, spowodowała tyloletnia niewola polityczna Polski, z której — trzeba to wyznać gorąco — Tarnopolszczyzna, jak i cały Kraj, powoli dźwigała się ku lepszej przyszłości.

Dziś nad tą ziemią zawisła ręka przemocy. Nie nowina to dla tej twardej, i od stuleci najeżdżanej ziemi. Przyszła przemoc, sieje zło i zniszczenie. Nie ma ani cienia wątpliwości, że odejdzie, skąd przyszła. Albowiem, chociaż siła jest doraźną potęgą, nie jej udziałem jest ostateczne zwycięstwo. Wola, myśl, wyobraźnia ludzka, i niewzruszona miłość ku ziemi własnej, rodzinnej — zostają po zawierusze dziejowej na placu.

W oddziałach, które nie otrzymują dostatecznej ilości egzemplarzy "Polski Walczącej", należy odciąć tę kartę i umieścić na ścianie w widocznym miejscu. "Towarzysz Broni" winien docierać do wszystkich.

Miejsca kaźni dla Polaków

Okupacja niemiecka, jak wszelka zresztą przemoc, postanowiła doszczętnie zgnieść jakikolwiek duch oporu w masie polskiej. Po bezmała sześciu latach, Niemcy uciekający z Polski co sił, mieli się przekonać, że można naród nasz krwawo gnębić w miejscach prześladowań i kaźni, ale — zniszczyć go nie sposób.

Więzienia i obozy koncentracyjne zapełnione były podczas okupacji najlepszymi synami Polski. Funkcjonowały one zarówno w Kraju, jak i poza jego granicami, na terenie Rzeszy. Na nic to się Niemcom nie przydało, pomimo, iż rosły i rosły mogiły zamęczonych.

Wśród licznych więzień, z praktyk zbrodniarzy niemieckich słynął ponury warszawski "Pawiak", poznański "Fort VII", czy też więzienie w Krakowie przy ul. Montelupich.

Obozów koncentracyjnych było wiele. Najstaszliwszy z nich — to pełen grozy Oświęcim, wieczysty pomnik hańby narodu niemieckiego. Niemniejszą grozą odznaczał się Majdanek. Nie były to jedyne dwa obozy, lecz w dostatecznej mierze obrazują one koszmar niemieckiej okupacji. Przypominają, i zawsze przypominać będą, jak wielkiej odpłaty naród polski musi się domagać od Niemców, którzy jako całość są odpowiedzialni za zbrodnie dokonywane w Oświęcimiach i Majdankach.

Obozy koncentracyjne stały się fabrykami masowej śmierci. W Oświęcimiu mówiono "przejść przez komin" . . . Znaczyło to zostać uśmierconym i spalonym.

Nie było tortury, którejby nie chwycili się Niemcy.

Jedną z najbardziej technicznie "łatwych" sposobów uśmiercania — były tak zwane komory gazowe.

W obozach konały tysiące Polaków i Polek. Z głodu, zimna, chorób i wymyślnych tortur. Za murami więzień, po obozach — dosłownie — za byle co rozstrzeliwano.

W Oświęcimiu, bydlęta w ludzkiej skórze — lekarze niemieccy, przeprowadzali doświadczenia lekarskie, groźne dla zdrowia i życia ofiar. Te "ludzkie króliki doświadczalne" miały swym przymusowym poświęceniem przysługiwać się rozwojowi niemieckiej medycyny.

Nie potrzeba dodawać, iż w obozach tych brutalna przemoc zgromadzała wszystkie elementy oporu przeciwko najeźdźcy. Wielu najlepszych żołnierzy Armii Krajowej, kobiet i mężczyzn, ze wszystkich ziem polskich, bez różnicy pochodzenia i zawodu — ginęło co dnia i nocy za drutami Oświęcimiów i Majdanków . . .

Są między nami byli więźniowie tych osławionych miejsc kaźni. A jednak — pomimo wszystko — uszli z cierpień i mąk niezłamani. Bo nie ma mocy, któraby ugięła naród polski, aczkolwiek nie jest zbyt trudno w świecie bezprawia i pogardy dla człowieka, więzić i zabijać Polaków.

"From the Stone Age to the 45"

Pod powyższym tytułem odbywa się w Edinburghu wystawa w salach Narodowego Muzeum Starożytności Szkocji /*National Museum of Antiquities of Scotland*/. Obrazuje ona Szkocję od najdawniejszych czasów, począwszy od Epoki Kamiennej — po ostatnie powstanie narodowe, które miało miejsce dwieście lat temu, w roku 1745.

Wystawa zawiera mnóstwo ciekawych rzeczy. Mówi poglądowo, że Szkocja jest krajem o tradycji paru tysięcy lat.

Na jednej z map, znaczących najdawniejsze ślady człowieka w Szkocji, spostrzegamy dwie miejscowości: Tentsmuir, Fife, oraz Gullane, East Lothian. Tentsmuir-Gullane! Czyż kwaterujący tam żołnierz polski zastanawiał się, że oba miejsca postoju są aż tak starożytne?

Niemniej interesujące jest przeczytać na niektórych gablotkach "from Roman fort at Newstead, Melrose". Ileż razy nasze auta wojskowe mijają Kirkliston pod Edinburghiem. Na wystawie znajduje się tablica rzymska właśnie z tego niepozornego, niczym zgoła nie wyróżniającego się Kirkliston.

Zebrano i wystawiono sporo eksponatów, które są dokumentami ciągnącej się dziesiątkami stuleci historii Szkocji.

U góry sal wystawowych rozpostarto bojowe chorągwie pierwszych prezbiterianów. Napis haftowany na jednej: *"Covenant for religion according to the Word of God, Crown and Kingdom"* /Przymierze religii wedle słowa Bożego, Króla i Królestwa.

Czegóż na tej wystawie nie ma?

Z ciekawszych, przedmiotów należało by wyliczyć następujące: drewniany pług z Wysp Orknejskich, krzesło wielkiego pisarza Sir Walter Scotta, kazalnicę bezkompromisowego reformatora religijnego John Knoxa, gilotynę, przy pomocy której wykonywano w Edinburghu egzekucje jeszcze w wieku XVII, kryształ, który ozdabiał chorągiew rodową Klanu Robertsonów w słynnej Bitwie pod Bannockburn, stoczonej z Anglikami w roku 1314.

Sporo widzi się pamiątek po Bonnie Charlie — Stuarcie Pretendencie, dowódcy ostatniego powstania Szkotów, wnuka naszego króla Jana III Sobieskiego. Na mapie kraju obrysowany jest dokładnie szlak wojenny Księcia, od Glenfinnan, po klęskowe wrzosowiska Culloden. Szczegół rodzajowy — z wielu pamiątek po ostatnim Stuarcie, zwraca uwagę stylowe lustro, które urodziwemu, acz nieszczęśliwemu młodzieńcowi, towarzyszyło we wszystkich wyprawach Wojennych.

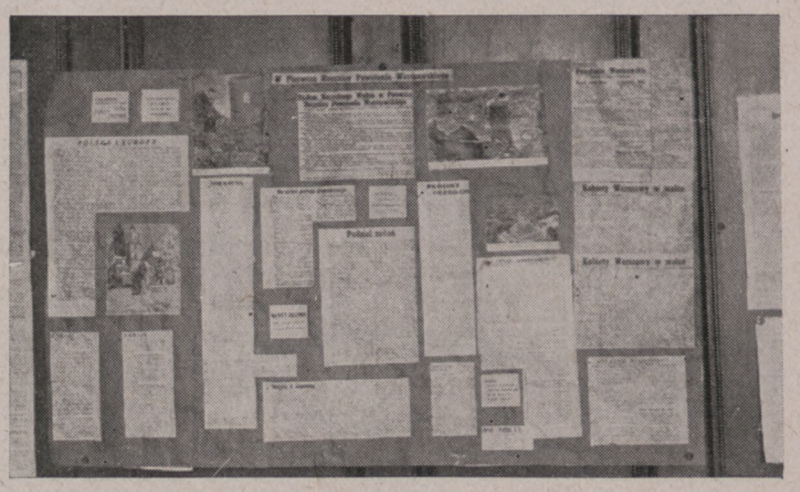

Gazetka ścienna w obozie PWSK w Szkocji; zwraca ona uwagę bogactwem treści i starannością przygotowania. Zachęcamy inne oddziały do naśladownictwa i nadsyłania nam fotografii

POLISH CHILDREN RESCUE FUND

W załączeniu przesyłam Money Order na sumę £61 sh.6d. d.11½ jako dochód z zabawy tanecznej urządzonej w dniu 22 b.m. z przeznaczeniem na fundusz Pomocy Dzieciom "Polish Children Rescue Fund".

Kwota powyższa obejmuje ofiarę na ten cel w wysokości £1 złożoną przez Mr. i Mrs. Alex. F. Rietche, 218, King Street, Aberdeen.

Za Komitet Zabawowy
por. M.D.

* * *

W załączeniu "Postal Order" na 2 sh., przeznaczone na dzieci polskie w Niemczech przez p. Krystynę Górną.

Kierowniczka Kursu Koresp. A.Ł.

* * *

Na pomoc dzieciom polskim £1 za odprawienie nabożeństwa żałobnego za duszę ś.p. por. Jana Janiny Bieleckiego przez ks. kapelana dr. Liedtke w dniu 19 września b.r.

Marszałowie

Na Polaków uwolnionych z Niemiec: £1,426

W załączeniu przesyłam Money Order No. OP 70760 na łączną kwotę £8.6.4 z przeznaczeniem na pomoc b. jeńcom polskim w Niemczech.

Suma ta została złożona:

1. £0.15.3 collected by the R.C. Chaplain 71 A.A. Bde. Father Roberts during Mass attended by the Polish H.A.A. Battery and offered by him for the Aid for Polish Ex-P.O.W.s in Germany.

2. £7.11.1 została zebrana przez szereg. Sam. Dyonu Art. Plot. C. drogą dobrowolnych składek z życzeniem przekazania tej sumy do "Polski Walczącej" na pomoc b. jeńcom polskim w Niemczech.

D-ca Sam. Dyonu Art. Plot. C.
J.M. kpt. art.

* * *

W załączeniu przesyłam Money Order Nr. 422872 kwota £1 z przeznaczeniem na fundusz Polaków w Niemczech.

K.R.

* * *

P. Maria B. obóz Polski, Indie składa na Polaków w Niemczech kwotę £10 /dziesięć funtów/.

Poszukiwani: Stanisława DAMROSZOWA /ur. 1901/, wywieziona podczas powstania z Warszawy do Niemiec prawdopodobnie w stopniu porucznika, jako jeniec wojenny.

Jan Tadeusz SŁAWIKOWSKI /oficer, ur. 1908/, imiona rodziców Józef i Maria. Ostatnie wiadomości z grudnia 1943 z Kairu. Jego rodzina w Polsce zdrowa. Czeka na wiadomości.

Wiadomości proszę podać pod adresem redakcji.

Żołnierze inwalidzi w Domu Wypoczynkowym "Cleave Court' w Tropnay przesyłają £3.10.0 /słownie: trzy funty i dziesięć szylingów/ na pomoc polskim dzieciom w Niemczech.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £22.16.4 /słownie: dwadzieściadwa funty, szesnaście szylingów i cztery pensy/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £1,426,16.7½ /słownie: tysiąc czterysta dwadzieścia sześć funtów, szesnaście szylingów i siedem i pół pensa/.

Poradnik żołnierski

E.R.

Cała sprawa została dokładnie zbadana na miejscu. Zarzut Pana polega zapewne na nieporozumieniu. Każdemu żołnierzowi przysługuje 1 i 1/2 tabliczki czekolady, jednak ze względów natury technicznej wydaje się jednego tygodnia 1 tabliczkę, zaś następnego — 2 tabliczki czekolady czyli razem żołnierz powinien otrzymać 3 tabliczki czekolady na dwa tygodnie. Widocznie trafił Pan na tydzień w którym wydawano 1 tabliczkę i pośpieszył się Pan z zarzutami.

Plut.F.R.-k.

Sprawę pana przekazałem Szefostwu Służby Opieki n/Ż Wydział Rodzin Wojskowych. Niezależnie od tego radzę zwrócić się bezpośrednio do Domu Matki i Dziecka: Green Park, Green End, Edinburgh.

p. Mig.

Mieszana Polsko-Brytyjska Komisja Lekarska oraz Trybunał Odwoławczy dla spraw zaopatrzenia Inwalidzkiego działają nadal. Renty inwalidzkie są wypłacane w porozumieniu z bryt. *Ministry of Pensions.*

Mr. S.-Jerozolima.

Oddziały Związku Inwalidów są w Jerozolimie, Indiach i Afryce Południowej.

Pani Halina T.

Ponieważ jest Pani wdową po żołnierzu, który zginął w akcji bojowej, może Pani prosić o przyjęcie córki do Polskiego Szpitala Wojskowego. Przyjęcie zależy od Komendanta Szpitala. Za leczenie nie będzie Pani płacić, ale za wyżywienie i pomieszczenie koszty wyniosą 3sh. 3d. dziennie.

K.A.

Proszę napisać bezpośrednio do Sekretariatu związku Inwalidów w A.P. w W. Brytanii, — 30, Mornington Crescent, N.W.1. Związek Inwalidów ma własne odznaki, które można otrzymać w Sekretariacie.

Mg. C.S.

Przy wyjeździe do Francji, wolno zabrać ze sobą w obcej walucie równowartość £10. Waluty brytyjskiej wywozić nie wolno.

Z.S.

Dziękuję za wiadomości. Wykorzystam je przy okazji. Sprawa, o którą Pan pyta przedstawia się następująco:

1/ Żołnierzom, którzy spędzili więcej niż 6 miesięcy w niewoli /lub internowaniu/ przysługuje 4-tygodniowy urlop ewakuacyjny.

2/ Żołnierze b.2.D.S.P.-otrzymywali urlopy we Francji natychmiast po przejściu granicy szwajcarsko-francuskiej.

3/ O ile urlop ewakuacyjny został wykorzystany we Francji — nie może być wykorzystany powtórnie na terenie W. Brytanii.

4/ W sprawie urlopów żołnierze winni się zwracać do bezpośredniego swego Dowódcy.

K-U

Do wszystkich krajów Europy za wyjątkiem krajów neutralnych, Francji, Belgii, Holandii i Niemiec — można wywieść ze sobą £5 /w banknotach jednofuntowych/ oraz równowartość £10, w walucie danego kraju.

A.K.

O ile przyznano Panu zaopatrzenie inwalidzkie nie może Pan figurować na statucie uchodźcy. Nie wolno dokonywać żadnych potrąceń z renty inwal.oprócz wypadku pobytu inwalidy w Szpitalu.

Nie wiem co sądzić o informacjach, które Pan otrzymał w Szpitalu, sądzę jednak, że polegają one na nieporozumieniu, gdyż za czas pobytu w Szpitalu należy się Panu zmniejszone uposażenie.

p. Kazimierz T.

Nie, nie ma Pan racji ponieważ do wszystkich krajów, oprócz krajów europejskich można wywozić w banknotach jednofuntowych £10, oraz £5, — w walucie obcej. Gotówkę radzę zdeponować na swoim koncie w którymś w banków, lub w *"Post Office Savings Bank"*.

WERINAJSEK

. . . ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY POKÓJ POTRWA TRZY TYSIĄCE LAT . . .

ZNAKI NA NIEBIE

— Z waszego baraku ilu wraca?
— Tylko jeden!
— Skąd wiesz? . . .
— Nie widzisz! Ten jeden wyprał sobie ciepłą bieliznę . . .

ASEKURACJA PRZED ZIMĄ

—To teraz żenicie się — na zimę?! . . .

—Właśnie teraz, panie szefie! Co mam robić, jak nam zostawili tylko po dwa koce . . .

BEZ PRACY NIE MA KOŁACZY . . .

—Co pan teraz robi w Londynie?

—Pracuję razem z moim szefem i kierownikiem biura.

—A co oni robią?

—To samo co ja.

—A pan?

—Właściwie nic! Jestem bez posady . . .

PO OGRANICZENIU BENZYNY W WOJSKU

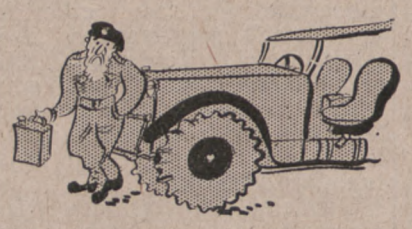

— . . . "Prosi dziaduś, prosi, bańkę z sobą nosi" . . .

POPRAWA STOSUNKÓW

—Czy pan zauważył, że stosunek Szkotów do Polaków w ostatnich czasach bardzo się poprawił!

—Po czym pan sądzi?

—N.p. dzisiaj w tramwaju konduktor zwrócił się do mnie: *"Lovely day"*! . . .

PO OSZCZĘDNOŚCIACH W OBOZACH

— Co to za koc?
— Bridżowy — panie szefie . . .
— Jakto bridżowy?
— Aż czterech będzie spało pod nim . . .

ROZMOWA WŚRÓD POLAKÓW

—To bardzo zdolny człowiek, tylko . . .

—Co tylko?

—Tylko bomby atomowej nie wynalazł! . . .

KOREKTA! . . .

—Co się stało, że "Polska Walcząca" nie wyszła?

—Redakcja czekała na korektę — decyzji władz brytyjskich w sprawie zawieszenia pisma . . .

NA KOPANIE ZIEMNIAKÓW . . .

— Który z was zna się na wykrywaniu min?
— Jo!! — panie szefie.
— To w takim razie pojedziecie wykrywać ze ziemi — ziemniaki . . .

ZIMA W SZKOCJI . . .

Jedna beczka do drugiej:
— Widzę, że u pani już się pali!
— Nie, tylko w moim baraku grają w "pokera" i kopcą papierosy . . .

ZMODERNIZOWANE PRZYSŁOWIE

. . . "wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma"! . . .

Tekst i rysunki: TONY

HUTCHINSON
BOOK NEWS

History of MODERN RUSSIAN PAINTING
(1840-1940)
By GEORGES LOUKOMSKI
(*author of "The Face of Russia"*)
The period covered by this book (1840-1940) has been specially chosen to illustrate the growth of the national idea, to widen the knowledge of the tendencies and principles which apply to-day, and to throw light on some typical aspects of the Russian ideology and patriotism as they are expressed in art. *Crown 4to.* 244 *Illustrations.*
Just published. £2.2.0

Author of "From Belgorod to the Carpathians," etc.
BORIS POLEVOI
TO THE LAST BREATH
An epic story of Russian life in wartime, describing experiences of the ordinary privates, officers, workers, peasants, and intellectuals in the three years of the Soviet people's great Patriotic War.
Just published. 6/-

A novel of General Panfilov's division
ALEXANDER BECK
ON THE FORWARD FRINGE
Among the many novels and stories inspired by the Red Army's titanic struggle, *On the Forward Fringe* stands out as something more than brilliant reportage. It is a rare combination of an action story and a psychological study.
Just published. 8/6

Russian Family Life
N. A. PFLAUMER
MY FAMILY
An informal and very interesting piece of autobiography by a Soviet woman, who, unable to have children herself, became a foster mother to six children. She tells in a very human way of their daily life and of the various problems and difficulties which had to be overcome.
Just published. 7/6

A vital and important book
GERMANY
Disease and Treatment
Based on the memoranda of the POST-WAR POLICY GROUP in the last Parliament. Edited by ANTHONY WEYMOUTH.
With contributions by
Sir John WARDLAW-MILNE, K.B.E.
Brig. Gen. J. H. MORGAN, K.C., D.L.
The Rt. Hon. Sir Malcolm ROBERTSON G.C.M.G., K.B.E.
J. J. CRAIK-HENDERSON,
With illustrations and maps
Just published. 5/-
HUTCHINSON & Co. (Publishers) Ltd.
Largest of Book Publishers.

"LWOWSKA FALA" — W EDINBURGHU
Teatr Wojska Polskiego "Lwowska Fala" wystąpi we wtorek 9 i we środę 10 października w sali Central Hall /Tollcross/ w Edinburghu z programem p.t.
"TRZYMAJ FASON"
Rewia w 2 częściach, w 12 obrazach
PROGRAM
CZĘŚĆ I: 1. Koniec wojny. 2. Człowiek, który spał 6 lat. 3. Zapomniany walc. 4. Konferencja atomowa. 5. Mazurki Chopina. 6. Monolog Tońka. 7. Veto.
CZĘŚĆ II: 1. Virtuti Militari. 2. Koncert acordeonowy. 3. Demokrata. 4. Stary kabaret. 5. Trzymaj fason! 6. Finał.
Teksty i muzyka: Wiktor Budzyński. No. 6. Cz. 1. Tekst: Henryk Vogelfaenger. Opracowanie muzyczne: Henryk Hausman.
Wykonawcy: Włada Majewska, Mira Grelichowska. Ludwik Bojczuk, Władysław Galiński, Stanisław Gorzkowski, Henryk Hausman, Jerzy Michalewicz, Jerzy Paszkiewicz, Wincenty Rapacki, Henryk Vogelfaenger, Stanisław Wasiuczyński, Józef Wieszczek.
Kostiumy: Alfons Ober. Oprawa sceniczna: Marian Kostka. Technika i światła: Marian Wilczewski.
Początek przedstawień o g. 7.00 wieczorem.

EDYNBURG
2, Drumsheugh Place. Tel. 21712.
Przy Caledonian (Prince's Street) Station na przedłużeniu Queensferry Street.
Księgarnia Polska
"CO SŁYCHAĆ"
Otwarta od 9 rano do 17.30 bez perzerwy.
Posiada obfity wybór książek, broszur polskich i angielskich o Polsce. Słowniki i podręczniki szkolne. Kalendarze ścienne i kieszonkowe. Upominki, orzełki, Polandy oraz wszelkiego rodzaju dystynkcje i odznaczenia wojskowe. Sprzedaż gazet i czasopism.
Zamówienia z prowincji załatwiane szybko i sprawnie.

SPIS RZECZY:
Antoni Bogusławski: Zagubiona prawda. — *Aleksander Janowski:* Po t.zw. plebiscycie. — *Aleksander Boray:* Przegląd tygodniowy. — *M. J. Gordon:* Nowości lotnicze. — *Eugeniusz Romiszewski:* Reportaż podróży do Danii /I/ Na gruzach bezideowej wojny. — *Jerzy Głębocki:* "Battle of Britain". — *Michał Choromański:* Noce bez tchu /akt II dokończenie/. — "Towarzysz Broni". — Zbiórki. — Poradnik żołnierski. — *Tony:* Werinajsek. — Fotografie.

WYDAJE SŁUŻBA OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową w Wielkiej Brytanii i zagranicą 1 sh. 6 d., kwartalnie 4 sh. 6d. Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na "POLSKA WALCZĄCA" pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy — 2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.

Trzecie Wydanie
podręcznika dla prowadzenia rozmów i pisania listów po angielsku
MÓJ SEKRETARZ
JEST NA WYCZERPANIU
Kup jeszcze dzisiaj ten nieoceniony podręcznik, który zawiera 2700 rozmów oraz wzory listów, telegramów i powinszowań po angielsku. Do nabycia we wszystkich księgarniach polskich po cenie 6/6.
CALDRA HOUSE /Publishers/LTD.
Duns, Berwickshire.